MACIEK I SZY KRÓL POWIETRZA

K·A·CZYŻOWSKI

CZĘŚĆ DRUGA

WARSZAWA
KSIĘGARNI POLSKIEJ - TOW·MACIERZY SZKOLNEJ

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI

MACIEK NA BIEGUNIE

(CZĘŚĆ DRUGA POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY
p. t. „MACIEK I, KRÓL POWIETRZA").

ILUSTROWAŁ
ZYGMUNT GRABOWSKI

WARSZAWA
„KSIĘGARNIA POLSKA" TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
1925.

Printed in Poland

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

COPYRIGHT BY KAZIM. ANDRZEJ CZYŻOWSKI
NINETEEN HUNDRED TWENTY FIVE

Druk Klamkowskiego i Rajskiego w Warszawie, Ciasna 5 (przy Ś-to Jerskiej).

OD AUTORA.

Rok temu opisałem w książce p. t. „Maciek I, Król Powietrza“ niezwykłe przygody młodego lotnika z Warszawy, którego niespodziewany obrót losu poniósł o wiele dalej, niż sobie zakreśliła jego śmiała wyobraźnia i żądza czynu. Dzielny ten chłopczyna, liczący dopiero trzynasty rok życia, lecz już rozmiłowany w lotnictwie, w którem wyćwiczył się jako ochotnik przy boku swego ojca, oficera wojsk polskich, skorzystał ze sposobności i po raz pierwszy sam puścił się w podróż powietrzną. Nie uprzedziwszy nikogo ani słówkiem, wsiadł, w zastępstwie chorego ojca, do jego doskonałego samolotu bojowego, imieniem Orzeł, i poszybował śmiało z korespondencją urzędową, którą miał zawieźć ojciec do Rumunji, a stamtąd do Konstantynopola. Za Lwowem, niedaleko wschodniej granicy Wołynia, zmylił nieco kierunek drogi i o mało co nie wpadł w ręce bolszewików; lecz dzięki przytomności umysłu uniknął niebezpieczeństwa, a nawet okrył się chwałą bojową. Bo oto, po wylądowaniu zdala od jakiejś wioski, zabrał pracującego w polu Bartłomieja Paciorka, kaprala polskiego, wziętego kiedyś do niewoli bolszewickiej, i obaj odparli zwycięsko trzy ścigające ich samoloty nieprzyjacielskie. Potem już szczęśliwie wylądowali na ziemi rumuńskiej, wypoczęli należycie w pewnem miasteczku, stamtąd zaś podążyli do Bukaresztu. Przyjęto ich z niesłychanem zdumieniem, zachwycano się dzielnością „najmłodszego lotnika polskiego“, król rumuński ugościł go serdecznie i własnoręcznie przypiął mu order wojskowy.

Ale za Maćkiem podążył też wysłany z Warszawy kapitan i zastał go w Bukareszcie. Maciek uprosił kapitana, żeby mu

w jego towarzystwie pozwolił jechać na Orle jeszcze do Konstantynopola. Wyruszono w drogę na dwóch samolotach. Lecz burza rozłączyła je w drodze. „Jaskółka“ z kapitanem pomknęła w niewiadomym kierunku; Orła zaś z Maćkiem i Bartkiem uniosły prądy powietrzne na południe, nad morze Śródziemne i dalej nad ląd afrykański. Wylądowali dopiero w środkowej Afryce, w krainie Niam-Niam, zamieszkanej przez ludożerców.

Zjawienie się lotników polskich przyniosło ocalenie Francuzowi de la Roche, handlowcowi, który w wojnie między szczepami murzyńskiemi dostał się do niewoli i miał być właśnie pożarty przez Niam-Niamczyków; na tych zaś ostatnich podziałało w ten sposób, że Maciusia, który niby cudownym sposobem spadł z nieba, uznali za swego czarodziejskiego króla. Przy pomocy Francuza, który znał już dobrze tamtych ludzi, Maciek z Bartkiem zaprowadzili w Niam-Niam ład i dobre urządzenia społeczne; poczem Maciek ustanowił niby swoich zastępców w rządach i oświadczył „poddanym“, że musi odlecieć do swojej ojczyzny, ale kiedyś znów do nich powróci.

Z Francuzem umówił się Maciek, że go zabierze i wysadzi w Chartumie (w Nubji), sam zaś z Bartkiem postanowił lecieć dalej do Kairu w Egipcie, by tam obmyślić sposób powrotu do Polski. Podróż odbyła się pomyślnie, de la Roche został w Chartumie, lotnicy zaś polscy przybyli do Kairu.

* * *

Myślałem, że już na tem zakończą się nadzwyczajne przygody Maćka i że z Kairu już bez wielkich przeszkód, może pod opieką starszych, dostanie się on do Polski. Tymczasem doznane powodzenie i ambicja narodowa tak ośmieliły miłego naszego Króla Powietrza, że puścił się z Egiptu w jeszcze dłuższą i niebezpieczniejszą podróż.

I oto musiałem napisać o nim jeszcze drugą książkę, którą teraz składam do rąk Waszych, Kochani Czytelnicy.

Milanówek pod Warszawą
w grudniu r. 1925.

I. NOWA AWANTURA.

Temu, kogo los sobie upatrzył na bohatera przygód przeróżnych, nie tak łatwo wymknąć się swemu przeznaczeniu. Inni ludzie nieraz przez całe lata żyją w ciszy i spokoju, jedynie z książek znając słowo „przygoda"; taki zaś dziwny wybraniec losu zaledwo zakończy jedno nadzwyczajne zdarzenie, a już wypadki tak się układają, że następne rozpoczyna, — uśmiech tajemniczego losu do nowych wydarzeń go kusi.

Na takiego właśnie bohatera na drodze przygód nadzwyczajnych widocznie przeznaczenie i Maćka sobie upatrzyło.

Już zdawało się, że cała jego przygoda z nieprzewidzianą podróżą do Afryki dochodzi do szczęśliwego końca i że za kilka dni ten mały a tak świetny lotnik wyląduje w Warszawie, rzuciwszy się ojcu w objęcia, poprosi go o przebaczenie, a później zabierze się z całym zapałem do nauki, — gdy właśnie nowa przygoda znowu stanęła mu na drodze i tak długo uśmiechała się doń i kusiła, że wreszcie przezwyciężyła skrupuły jego serduszka i powiodła go w zupełnie inną stronę.

A stało się to w Kairze.

Po wysadzeniu pana de la Roche w Chartumie Maciek jednem wielkiem rozpięciem lotu, trwającem blisko 8 godzin, przeleciał przestrzeń od Chartumu do Kairu, wynoszącą 1.800 km.

Wspaniały ptak jak strzała pruł przeczyste powietrze nad ziemią Egipską, a z piersi jego jeźdźców, króla Maciusia i Bartka kaprala, coraz wyrywał się okrzyk podziwu i oczarowania.

Z wysokości 500 m. widzieli, jak królewski Nil linją wężową wije się i sunie korytem brunatnego i skalistego wąwozu, — jak wielkim łukiem cofa się i okrąża kamienistą pustynię Nubijską, przez której skwarną i parną atmosferę około dwóch godzin się przebijali, a potem pod ich lot wróciła znowu boska rzeka, ale jej brzegi z brunatnych i kamienistych stały się soczyste zielenią pól i radosne, choć dziwnie starością swą spokojne i poważne.

Wreszcie na północnym krańcu horyzontu zabieliło się tysiącem płaskich domków jakieś wielkie miasto i oto Orzeł w pogodne, lekko zaczerwienione i chylące się już ku zmrokowi popołudnie osiadł na doskonałem lotnisku stolicy Egiptu.

Jakiś murzyn w białem płóciennem ubraniu podbiegł do niespodziewanych przybyszów, a łyskając białkami, gestykulując i bełkocząc niezrozumiale kluskowatym językiem, powiódł ich do kancelarji portu. Tu, w przestronnym pokoju naoścież dla świeżego powietrza otwartym, zastali tylko dwóch pisarczyków, mimo że pod ścianami stał z tuzin stołów, zarzuconych papierami, mapami i rozmaitemi narzędziami.

Obaj pisarze, rozebrani do koszul i dłubiący zapałkami w popsutych zębach, ledwo raczyli rzucić okiem na przybyszów.

Wesoły murzyn, porzuciwszy Maćka i Bartka przy drzwiach, podbiegł do jednego z „referentów“ i wyrwawszy mu zapałkę z rozdziawionej gęby, zmusił go do dość krzykliwej rozmowy.

Maćkowi i Bartkowi chodziło tylko o zameldowanie się w porcie kairskim, opatrzenie aparatu, załadowanie zapasu benzyny i o dobre słowo na dalszą drogę. Chcieliby, naturalnie, przenocować i korzystając już z pobytu w tem starem mieście, obejrzeć je jako-tako. Do tego zaś był im potrzebny jaki przewodnik, z którymby się mogli porozumieć. Tymczasem od chwili

wylądowania nie zamienili jeszcze jednego słowa z nikim i zanosiło się na to, że nie prędko będą mogli się porozumieć.

Na krzyk kędzierzawego murzyna i wskazywanie palcem na Maćka i Bartka, ospali urzędnicy odpowiadali śmiechem, stukając palcami w jakiś papier i potrząsając głowami.

— Zdaje się, pułkowniku, że oni nie mają wcale zamiaru nas przyjąć — odezwał się Bartek.

— Dlaczego?

— Ano, nie widzisz? Nietylko nam żadnych honorów nie oddają, jak to było w Rumunji, ale jeszcze głowami kiwają, że „nie".

— Może oni nie o nas mówią?

— Przecież ten czarny przyjaciel na nas palcami wskazuje.

— To prawda. Ale skąd oni mogą wiedzieć, czego my chcemy i co my za jedni jesteśmy?

— Mogą się zapytać.

— Ba, a jeżeli oni nie umieją po francusku?

— To ja im wytłumaczę.

I kapral Bartek już postąpił krok naprzód.

— Co chcesz zrobić, Bartku? — zatrzymał go Maciek.

— Ano, powiedzieć, że mamy ich w nosie. Przecież nocować w tym kramie nie będziemy i trzeba o kolacji pomyśleć.

— Rób, co chcesz. Ja się pomiędzy nich wdawać nie będę.

— Tobie, królu, nie wypada. A zresztą ja sam sobie dam z nimi radę.

I zadzierzysty kapral posunął ku stolikowi.

Akuratnie kudłaty murzyn usiłował przemocą postawić apatycznego urzędnika na nogi, gdy nagle na stół spadła sękata pięść Bartka, a jednocześnie dał się słyszeć jego okrzyk:

— Psia mać! Teremtete! Jeść! Spać! Pić!!

Na to mało delikatne wtrącenie się przybysza do rozmowy urzędniczyna zerwał się na równe nogi i trąc pięściami oczy, wykrzyknął:

— Jezus! Marja! Polacy!!

Teraz zkolei Bartek zdumiał się niezmiernie. Otworzywszy usta narozcież i mrugając oczyma, począł się wpatrywać w łysy łeb maleńkiego człowieczka.

„Jezus! Marja! Polacy!“ (str. 8).

— Mówcież, na miłość boską, skądeście się tutaj wzięli?

Bartek zwolna ochłonął ze zdumienia, a do stołu podbiegł i Maciek.

Rwanemi słowami, pełnemi wykrzyków i wymachiwań rękami, potoczyła się rozmowa, której, śmiejąc się i łypiąc białkami, przysłuchiwał się zboku młody murzynek.

Okazało się, że mały człeczyna był również Polakiem. Był to pan Jaksa-Bączalski, buchalter z Warszawy, który, gnany losami wielkiej wojny przez Syberję i Azję, znalazł się aż w Kairze. Przymierając z głodu i nędzy, sam jeden na świecie jak palec, oparł się aż w stolicy Egiptu, gdzie znalazł posadę pisarza w porcie lotniczym.

Po krótkiem zaznajomieniu się i wyjaśnieniu sprawy przez Maćka, pan Jaksa obiecał rodakom załatwić wszystko po ich myśli, a następnie zaprosił ich na kolację.

— Ten głupi murzyn wziął was za podróżników francuskich, których spodziewamy się, ale dopiero jutro.

— No, dobrze. Ale czemuż pan nie podszedł do nas odrazu, by się dowiedzieć, kto my jesteśmy? — zagadnął Maciek.

— To nie mój obowiązek, tylko dyżurnego na lotnisku. Na pierwszy rzut oka wziąłem was za jakichś bolszewickich pajaców, a tych mam już aż po dziurki od nosa.

— Dlaczegóż to pan nas za bolszewików wziął?

— Bom tyle od nich wycierpiał, że teraz na każdego nieznajomego patrzę nieufnie. No, ale chwała Bogu jesteście moimi rodakami i tak się wami cieszę, jak djabeł ćwieczkiemby się nie ucieszył.

— To możebyśmy nareszcie poszli co zjeść? — zagadnął Bartek.

— Naturalnie, naturalnie. Dziś i tak nic tu już nie załatwicie, bo i komendant portu i co ważniejsi urzędnicy są na zebraniu w urzędzie miejskim.

— Ho, ho, to u was lotnicy są radnymi miasta?

— E, nie. Tylko radzą tam, jak mają jutro przywitać tych „obleciświatów".

— Jakich „obleciświatów"? — zapytał Maciek.

— Ano, tych Francuzów, Włochów i Anglików.

— Nie wiem, jakich i których.

— A, prawda, że wy z Niam-Niam przybywacie, a tam gazet nie wydają.

— No, właśnie. Niechże pan nam powie!

— Odłóżmy to do kolacji, bo widzę, że pan kapral już trzeci raz pasa podciąga.

Przechodząc przez miasto, Maciek i Bartek czuli się tak dziwnie oszołomieni, jakby Bóg wie jak dawno nie chodzili po chodniku i nie widzieli wystaw sklepowych. Dziwił ich każdy bogatszy sklep, każda wyższa kamienica wyrywała okrzyk z ich piersi. Coprawda wygląd miasta był istotnie inny, aniżeli miast europejskich, a to dodawało mu tajemniczego uroku. Płaskie dachy kamienic, porozsuwane narozcież okna i drzwi sklepów, restauracyj i kawiarń, wzdłuż chodnika długi szpaler zasłon płóciennych, rzucających półcień, również ocienione tarasy i werandy na piętrach, a przedewszystkiem stubarwny tłum białych, brunatnych i czarnych, Europejczyków w białych ubraniach, Arabów i Beduinów w zawojach, murzynów najdziwaczniej odzianych, tu i tam szpalery straganów pełnych owoców i świecideł, wielbłądy, konie i muły, snujące się z ładunkami wśród ryczących samochodów i dzwoniących tramwajów, — wszystko to razem składało się na jedyny w swoim rodzaju obraz.

Ta lub tamta mała scenka wywoływała serdeczny śmiech u Maćka i Bartka, których pan Jaksa, otrzaskany już z życiem i wyglądem tej stolicy, prowadził głównemi ulicami.

— A teraz, moi kochani, popatrzcie na ten czerwony szyld na rogu! tam nas czeka jedna z największych niespodzianek — oznajmił im szanowny przewodnik po dobrej pół godzinie drogi.

— Cóż to takiego?

— Zobaczycie zaraz.

W tej chwili właśnie podeszli pod sam szyld czerwony, który ogłaszał jakąś wielką, pierwszorzędną restaurację.

— No, i cóż tu dziwnego? — zapytał Maciek, przeczytawszy już szyld do połowy.

— A przeczytałeś już napis do końca, przyjacielu?

— Ah!! Znowu Polak!

— A widzisz!

— Piotr Sochacki.

— Właśnie, Sochacki i Piotr, jedna z największych restauracyj w Kairze.

— No, to przynajmniej barszczu i pierogów dostaniemy — zakończył Bartek, ocierając usta z oskomy.

Istotnie, piękna, duża i czysta restauracja należała do Polaka, który od lat już dziesiątka dorabiał się majątku na afrykańskich żołądkach.

Pan Jaksa przeprosił na chwilę swoich towarzyszy i jak mała kulka wpadł do restauracji.

— Gdzież on przepadł, do djabła? — uniósł się Bartek. — Chce nam na ulicę przynieść jedzenie, czy co?

— No, Bartku. Wcale nie wyglądamy ani tak czysto, ani tak przyzwoicie, abyśmy mogli odrazu wejść do takiej porządnej restauracji.

— Jakto nie? Ty, król Niam - Niamczyków, i ja, twój adjutant?

— No, no, o tem tu na pewno nikt nie wie.

— A król rumuński nas nie przyjmował?

— To co innego.

— Jakto, co innego? Już ja mu pokażę, niech tylko poważy się...

Tu przerwał Bartek swoją wymowę, bo właśnie we drzwiach ukazał się pan Jaksa w towarzystwie jakiegoś wysokiego, tęgiego pana, o twarzy czerstwej, mocno opalonej, o długich, zawiesistych popielatych wąsach i jasnych, szarych oczach.

— A witajcież, witajcież, rodacy! Całem sercem witajcie! — odezwał się tęgi mąż i z roztwartemi ramionami podszedł szybko do Maćka.

— No, pańskie szczęście! — zawyrokował Bartek, patrząc na małego pana Jaksę.

— Jakto szczęście? — zapytał pan Sochacki, bo on to był właśnie tym tęgim mężem.

Maciek, widząc, że Bartek swoim zwyczajem znowu palnął głupstwo, machnął ręką na kaprala i małemi dłońmi ujmując szeroką dłoń pana Sochackiego, odezwał się swoim miłym, chłopięcym głosikiem:

— Proszę pana, bo my się strasznie cieszymy, że w tem wielkiem i nieznanem mieście spotkaliśmy panów, obu Polaków. My wracamy do Polski...

— A skądże to kawalerowie?

— Z Niam-Niam, panie radco — wtrącił się Bartek.

— Z Niam-Niam? — zdziwił się pan Sochacki, puszczając „radcę" mimo uszu.

— Właśnie, właśnie. Po podbiciu i zaanektowaniu tego kraju dla Polski wracamy do ojczyzny, aby ten tego...

— Nie nie rozumiem.

— Bo, proszę pana, Bartek zawsze za dużo gada, a ja potem mam kłopot.

— No, chodźcież panowie do mnie na górę, pogawędzimy trochę. Mój Boże, człowiek tu całemi latami czeka na jaki wiew od ojczyzny. Jak z nieba spadliście do nas.

Przy tych i podobnie miłych słowach gospodarz powiódł gości do swego mieszkania, po drodze rzucając rozporządzenia służbie, by w jadalni zastawiono sutą kolację.

Dopiero te rozkazy kulinarne, przetłumaczone przez pana Jaksę Bartkowi, uspokoiły, a nawet przemieniły w uśmiech srogie i zadzierzyste pomrukiwania Bartka.

Mieszkanie pana Sochackiego leżało na pierwszem piętrze.

Weszli do obszernego środkowego pokoju, którego wielkie okna, a właściwie bezszybne otwory, wychodzące na północ, pozasłaniane były ochronnemi przed złośliwym owadem firankami muślinowemi. Panował tu miły chłód.

Po całodziennym locie w szalonym skwarze, wydobywającym strugi potu z ciała, obaj podróżnicy z rozkoszą zanurzyli się w miękkie, chłodne fotele skórzane.

Maciek, jakby dając upust swemu zmęczeniu, wyciągnął nogi przed siebie, zmrużył oczy i odpoczywał całą duszą. Bartek z panem Jaksą wdali się w towarzyską pogawędkę, przyczem jeden przed drugim udawał rzeczoznawcę w ocenianiu przepięknych dywanów i tkanin, któremi całe mieszkanie pana Sochackiego było zawieszone.

Tymczasem zamaszysty i rubaszny gospodarz, naprawdę rozradowany niespodzianymi gośćmi, to wbiegał, to wybiegał, to pomagał służbie w zastawianiu stołu do uczty, to znów kilkoma słowami wyrażał swą radość.

Czynności jego nie schodziły z oka Bartkowi, który też skutkiem tego często się mylił w swoich określeniach. Korzystał z tego pan Jaksa, by za każdym razem okazać swemu rozmówcy swoją wyższość w znajomości tkanin i dywanów.

— Ależ, panie, pan nie ma pojęcia o tem, z czego się tka dywan perski — zaperzał się naprzykład pan Jaksa.

— Jakto nie? Z czystej wieprzowiny; inaczej cały smak do niczego — odpowiadał Bartek, rzucając okiem na jakąś dymiącą potrawę, czy półmisek z chłodną wędliną.

— Co takiego!? Z wieprzowiny — dywan?

— Ależ kiełbasa, nie dywan...

Taką mniej-więcej rozmowę przerwał wreszcie gościnny gospodarz, zapraszając do bogato i suto zastawionego stołu.

Maciek i Bartek, nie dając się długo prosić, zerwali się ze swych miejsc, ale właśnie w tej chwili we drzwiach ukazała się przepięknej urody, chociaż niebardzo już młoda pani. Na pierw-

szy rzut oka, po smagłej cerze, podługowatych, dużych czarnych oczach i włosach tak czarnych, że aż połyskujących błękitnie, — poznać w niej było Egipcjankę.

— Moja małżonka — przedstawił pan Sochacki gościom panią domu.

Zaznajomiwszy się, całe towarzystwo zasiadło do stołu. Miejsce Maćka przypadło pomiędzy panią Lilit (tak było na imię pięknej gospodyni) a panem Piotrem. Po krótkich ceremonjach, które naturalnie pierwszy Bartek przełamał, zadźwięczały widelce i noże.

Po pierwszem zaspokojeniu głodu poczęła się toczyć przemiła rozmowa po polsku.

— Ja mówić polska jeszcze bardzo choro — odezwała się pani Lilit do Maćka.

— Ależ nie mówi się „choro", tylko „słabo" — poprawił pan Piotr.

Pani Lilit, nie umiejąc jeszcze dobrze mówić po polsku, rozumiała jednak wszystko doskonale i rozmowa mogła się toczyć swobodnie.

W pewnej chwili podjęto znowu temat przylotu lotników z zachodu Europy, na których jutrzejsze przyjęcie przygotowywał się cały Kair. Najwięcej w tej sprawie miał do powiedzenia pan Jaksa, który też, coraz poprawiając okulary na okrągłej, łysej głowie, z ożywieniem opowiadał o tem.

Oto cztery państwa europejskie wysłały swoich najznakomitszych lotników w lot naokoło świata. Pierwszym etapem ich wspaniałej podróży miał być właśnie Kair. Stąd lot miano skierować ponad półwyspem Arabskim i Indostanem do Kalkuty; stamtąd ponad potężnym grzbietem Himalajów do Pekinu; dalej — wzdłuż niziny rzeki Sungari i dolnego Amuru do Nikołajewska, gdzie w czasie kilkudniowego pobytu samoloty miały się przedzierzgnąć w wodnopłatowce, zdolne do osiadania również na śniegu. Z Nikołajewska bowiem dalszy lot miał wieść

ponad Kamczatką i morzem Beringa do portu St. Michael na półwyspie Alaska; dalej Skagway i Dawson, lot nad śnieżnemi pustyniami Ameryki Północnej aż do faktorji Yorku nad zatoką Hudsońską, dalej port Hebron na półwyspie Labrador, przylądek Farvel w południowej Grenlandji, Rejkjawik w Islandji, przelot nad półn. oceanem Antlantyckim, Thurso w półn. Szkocji, ponad górami Grampian do Glasgowa, przelot nad całą Anglją aż do Londynu i wreszcie kanał La Manche i Paryż.

Olbrzymi ten lot, wynoszący w linjach powietrznych przeszło 45.000 km., był zamierzeniem na skalę tak potężną, o jakiej dotychczas nikt w dziejach lotnictwa nie zamarzył. Gdyby samoloty biorące udział w tym locie leciały po 12 godzin na dobę, z szybkością przeciętną 250 km. na godzinę i gdyby w żadnym porcie nie zatrzymały się dłużej nad 12 godzin, lot ten teoretycznie musiałby trwać 15 dni. W rzeczywistości podróż ta obliczoną była na dwa miesiące okrągło, a dla jej uskutecznienia pracowano i przygotowywano się już dwa miesiące, licząc do pierwszego dnia lotu.

Na odległościach długich i niebezpiecznych, jak np. Nikołajewsk — Dawson, lub Dawson — Grenlandja, pobudowane zostały umyślnie stacje zaopatrywania, wyposażone w warsztaty i narzędzia, niezbędne w razie zepsucia się aparatów. Na stacjach tych, zresztą i na innych po drodze, ustanowione zostały oddziały lotnicze wywiadowcze, by czuwać nad bezpieczeństwem lotu, w razie zaś potrzeby nieść pomoc, chociażby to było tylko dostarczenie aparatom benzyny. Kwestja benzyny, sprawa jej rozmagazynowania i dostarczania na całej długości lotu była zresztą jedną z najważniejszych.

O tem to wszystkiem opowiadał długo i szeroko pan Jaksa Bączalski, coraz wywołując westchnienia i okrzyki z piersi zasłuchanych towarzyszy uczty. Właściwie od długiej chwili nikt już nie jadł. Miejsce talerzy i półmisków zajęła olbrzymia mapa, po której czerwonym ołówkiem, z wielkim rozmachem i pew-

nością siebie, jeździł zapalony prelegent, — coraz zwilżając wyschnięte gardło i usta lekkiem, chłodnem winem, perlącem się w małych szklaneczkach.

Pan Jaksa Bączalski od pierwszego dnia niemal piastowania posady pisarza w porcie lotniczym w Kairze stał się zapalonym apostołem lotnictwa. Wprawdzie dotychczas nigdy jeszcze nie próbował odbić samolotem od ziemi i wznieść się bodaj do najbliższych chmur, — często jednakże, szczególniej gdy nikt nie widział, zakradał się do hangarów, wdrapywał się do którego z aparatów i zająwszy w nim miejsce pilota, z przymkniętemi lekko oczyma oddawał się boskim marzeniom o dalekich i niedościgłych, triumfatorskich lotach.

Jazdy te, na drzemiącym w hangarze samolocie, należały do najmilszych rozrywek pana Jaksy. Słabość jego znali i przełożeni i koledzy w porcie, nikt jednak nigdy nie przeszkadzał mu w uprawianiu niewinnych lotów.

Nikomu one nie szkodziły, a dla pana Jaksy stały się czemś niezbędnem do życia, jedyną przyjemnością i jedynem szczęściem w długich i skwarnych dniach, spędzanych zdala od ojczyzny.

Do hangaru wchodził zawsze chyłkiem i tylko wtedy, gdy w nim nikogo nie było. Stękając i sapiąc wdrapywał się z trudnością na puste miejsce przy sterze. Ale gdy miejsce to już zajął, gdy w rękę ujął sztywną rączkę steru, a krótkie nogi oparły się o orczyk tylnego steru, cała twarz jego blada i spocona zmieniała się w jednej chwili, nabierając wyrazu pewności siebie i jakby natchnienia, a z poza dużych okularów rozżarzone oczy sypały skry męstwa i radości. Z przed oczu znikały mu wtedy ściany hangaru dusznego i jego podłoga, w nieprzebrany i słońcem przesiąknięty błękit zmieniał się półcień zamkniętej szopy, a daleko, nisko pod nogami, widocznie tylko dla wielkich okularów, przepływały nieznane ziemie, góry i morza. Tak poruszając to w tę, to w tamtą stronę dźwigniami sterowemi, coraz to inne cyfry czytając na spoczywających w mar-

twocie wysokomierzach i szybkomierzach, pan Jaksa potrafił latać swą fantazją całemi godzinami.

Czasami, ale tylko czasami, gdy nie znał jakiego aparatu, a na pierwszy rzut oka nie mógł nabrać do niego zaufania, pan Jaksa, bojąc się, by przypadkiem aparat dla figlów naprawdę nie ruszył i nie pofrunął z nim w prawdziwe przestworza,—namyślał się trochę dłużej nad tem, czy wsiąść, czy nie wsiąść do samolotu. Rozmyślania te zwykle kończyły się tem samem. Oto pan Jaksa wyszukiwał w jakim kącie kawał łańcucha czy liny i wbiwszy kół w ziemię, przywiązywał doń ogon aparatu.

Nie śmiejcie się, czytelnicy, z pana Jaksy. Wy może wiecie, że ten kołek z łańcuchem to taka przeszkoda dla aparatu, jak np. mucha na wozie dla konia. Ale pan Jaksa pewnie o tem nie wiedział, a w każdym razie nie chciał o tem wiedzieć i po takiem uwięzieniu zawsze spokojniej wsiadał do samolotu. Zupełnie spokojnym nie był on nigdy i lada trzask w siedzeniu czy w suchych ścianach płoszył go i wystraszał. Któż bowiem może wiedzieć (prócz naturalnie najtęższych lotników), jakie zamysły, plany i figle gnieżdżą się we łbie takiej cudownej bestji skrzydlatej?

Gdy po jedzeniu i referacie pana Jaksy Maciek, na prośby gospodarzy, opowiedział swoje przygody afrykańskie, suto zaprawione fantazją Bartka, pan Jaksa, po długiem wpatrywaniu się w Maćka i kilka razy oczy pod okularami przetarłszy, nagle zerwał się z miejsca i ryknąwszy jak mały, łysy tur, runął na szyję chłopakowi.

— Synu, synu mój najdroższy! Królu!...

Dalsze słowa uniesienia przerwało mu łkanie, którego dłużej nie mógł już opanować.

Podobne wzruszenie ujawniło się w jednej chwili i u zasłuchanych gospodarzy, a nawet i u... Bartka, który nagle z hałasem powstał z miejsca i wyrznąwszy pięścią w stół, że aż kieliszki zadźwięczały, odezwał się zgoła nieoczekiwanie:

— Mitu-Fitu teremtete!! Niech mi uszy obetną, jeżeli ja z tego smarkacza jeszcze najtęższego lotnika na świecie nie uczynię!

Przechwałka ta ogromnie wszystkich zaskoczyła. Nie przeszkadzało to jednak Bartkowi wypić za jednym zamachem trzech szklaneczek wina, jednej swojej, a dwóch należących do sąsiadów.

Widząc to, Maciek, z prośbą w oczach, spojrzał na gospodarzy, by raczyli darować ten wybryk siarczystemu kapralowi. Ludożercy przecież nie mogli go form towarzyskich nauczyć.

Zrozumiała to pani Lilit, a zbliżywszy się do Maciusia, ujęła jego główkę w obie dłonie i ucałowawszy jego kędzierzawe loki, odezwała się z uśmiechem:

— Dzielna syna, ja chcieć bardzo mieć taka dzielna polska syna!

Tu należy nadmienić, że państwo Sochaccy, niestety, własnych dzieci nie mieli i oboje mocno nad tem ubolewali.

Widząc serdeczne wzruszenie żony, a i sam poruszony do głębi, pan Piotr ujął wypełniony lekkiem winem kielich, jeden z tych, którego Bartek dosięgnąć nie zdążył, i mrugnąwszy na służbę, by gościom dolała napoju, wzniósł toast na cześć Maćka.

— Rozpocząłeś swe życie tak pięknie, drogi chłopcze, — kończył swą mowę gospodarz — że z całego serca należy ci życzyć, byś istotnie na chwałę ojczyzny i ludzkości urósł na takiego tęgiego lotnika, jakiego z ciebie twój pan kapral obiecuje zrobić.

— A zrobię! Psia mać! — dokrzyknął Bartek.

Wzruszeni towarzysze wypili ten toast do dna, poczem po kolei uściskali małą dłoń Maćka.

— Gdybyś nie miał rodziców, chłopcze, chętniebym cię usynowił. Ale że masz ojca dzielnego, którego bardzo kochasz, nie pozostaje mi nic innego, jak prosić cię, byś pozwolił coś dla siebie zrobić. — Tak mówił znowu pan Piotr, gdy miejsca z powrotem zajęto.

— To ja bardzo pana proszę, — odpowiedział Maciek — żeby pan kiedy przyjechał z panią do nas do Warszawy i odwiedził mnie i tatusia. Pani bardzoby chciała mieć syna małego Polaka, a u nas jest dużo sierot, toby pani mogła sobie wybrać i ładnego i dzielnego.

Roześmiał się na to pan Piotr.

— Dziękuję ci serdecznie, Maciusiu, za zaproszenie i bądź pewien, że kiedyś w przyszłości skorzystam z niego. Ale dziś nie o to mi chodzi. Chciałbym co dla ciebie na pamiątkę uczynić.

Po tych słowach zapanowało krótkie milczenie.

Nagle pan Jaksa, milczący i zadumany już od dłuższego czasu, zerwał się z miejsca i stuknąwszy się szeroką dłonią w jeszcze szerszą łysinę, wykrzyknął:

— Mam myśl!

— Co takiego?! — zapytano.

— Mam genjalną myśl!! — powtórzył, jeszcze raz bijąc się w czoło.

— Daj pan spokój, bo łeb sobie rozwalisz! — odezwał się flegmatycznie Bartek.

Ale pan Jaksa, nie słysząc nic, ujął gospodarza za guzik od marynarki i nabok go odprowadził.

Wymachując rękami i podskakując, długo i dobitnie coś tłumaczył panu Piotrowi. W miarę słuchania, twarz pana Piotra coraz bardziej się rozjaśniała, wreszcie szanowny gospodarz, mocno uścisnąwszy dłoń pana Jaksy, odezwał się:

— Naturalnie! Kapitalny pomysł! Ależ pan istotnie ma genjalną myśl!

— A więc słuchajcie, państwo! — zwrócił się pan Bączalski do pani Lilit, Maćka i Bartka. — Krótko a węzłowato, mam myśl, by w podróż naokoło świata wraz z lotnikami państw europejskich udał się w imieniu Polski obecny tu pan Maciek.

Słowa te, rzucone jednym tchem, bez uprzedniego przygotowania słuchaczy, padły jak bomba. Maciek tak się niemi zdumiał, że aż z miejsca powstał i rozszerzonemi oczyma wpatrując się w pana Jaksę, zapytał:

— Co? Co takiego?

— To, coś słyszał, przyjacielu.

— Ależ to niemożliwe!

— Dlaczego?

— Przecież tam czeka tatuś... egzamina...

— Furda egzamina, panie dzieju, tu chodzi o honor Polski! — zakrzyknął z zapałem pan Piotr.

— A do tatusia wyślemy taki list, że z pewnością pobłogosławi ci na drogę — dodał pan Jaksa.

— Przecież ja nie mam aparatu.

— A Orzeł?

— Orzeł jest doskonały! I szybki i silny...

— Niech żyje Orzeł, ptak nad ptakami!!—wzniósł nieoczekiwany toast Bartek, który powoli zaczął zdawać sobie sprawę z tego, na co się zanosi.

— Tak, ale Orzeł jest samolotem rządowym.

— Otóż to! — wtrącił się pan Jaksa. — Do rządu polskiego także odpowiedni list wyślemy.

— Pan jenerał nie pozwoli — oponował Maciek.

— Posłuchaj, chłopcze! — zabrał głos pan Piotr. — Powiedziałem, że chciałbym co zrobić dla ciebie, a tu nadarza się okazja uczynienia czegoś nietylko dla ciebie, ale i dla Polski. Otóż ja, Piotr Sochacki, jeden z pierwszych kupców w Kairze, jestem Polakiem i chcę się nareszcie czemś przyczynić do chwały mojej ojczyzny, aby ona nie pomyślała, żem o niej w dobrobycie zapomniał, panie dzieju. A więc, panie dzieju, napiszę piękny list do pana jenerała, że ja, panie dzieju, Piotr Sochacki, kupuję od rządu polskiego Orła w tym celu, abyś ty, Maciek, panie dzieju, król powietrza, odbył na nim lot dookoła świata.

A ponieważ ten lot, panie dzieju, będzie coś niecoś ponadto jeszcze kosztował, ja obowiązuję się w całości pokryć jego koszta, na początek asygnując sumę 20.000 piastrów, t. j. 26.000 złotych.

— Maciek, bierz!! — wrzasnął do ucha, ale dość głośno Bartek.

— Bierz, Maćku, bierz! okazja drugi raz się nie zdarzy — dodał od siebie pan Jaksa.

— W razie gdy lot się uda szczęśliwie, panie dzieju, rząd polski na pewno odkupi Orła. Więc nie myśl, chłopcze, że ja zbyt ryzykuję. Wierzę i ufam w twoją szczęśliwą gwiazdę, no i w umiejętność latania, czegoś dowiódł już aż nadto dobrze, panie dzieju.

Rozpoczęła się gorąca i namiętna rozprawa na temat projektu, tak nagle powstałego.

Sama myśl wzięcia udziału we wspaniałym locie była tak kuszącą i niepospolitą, że Maciek ostatnim wysiłkiem swego chłopięcego sumienia wysuwał jeszcze to ten, to tamten skrupuł. Wszystkie jego wątpliwości rozbijały się o zapał projektodawców, którzy coraz bardziej rozpalali się do cudownej myśli.

Koniec końców, nie wiedząc, czy oczekiwani nazajutrz lotnicy zgodzą się na towarzystwo takiego młodego, jak Maciek, lotnika, postanowiono czekać z ostateczną decyzją do jutra. Przy tem wszystkiem mogły się okazać jeszcze inne przeszkody, o których narazie trudno byłoby co powiedzieć.

Niemniej Maciek udał się na spoczynek pełen cichutkiej nadziei, że wszystkie przeszkody zostaną pokonane i że przyjdzie mu raz jeszcze dokazać cudów na Orle.

II. PRAWO PRZYGODY.

— Mówię ci, Maćku, zostaw to wszystko na mojej głowie! Zobaczysz, jak ja z nimi pogadam!

Tak dodawał Bartek animuszu Maćkowi w drodze na lotnisko, siedząc wygodnie w samochodzie pana Sochackiego, mknącym rojnemi ulicami Kairu.

Było to już południe dnia następnego, w dwie godziny po przylocie spodziewanych gości z zachodu.

Przed pół godziną pan Sochacki odebrał telefoniczną wiadomość od pana Jaksy, że goście, zgromadzeni na śniadaniu w komendanturze portu i uprzedzeni już o planie dołączenia się do nich młodziutkiego lotnika polskiego, z ciekawością oczekują jego przybycia.

Pan Jaksa Bączalski miał to w swej naturze, że potrafił uparcie i z całem poświęceniem dochodzić do celu, nie zrażając się żadnemi przeszkodami.

To też poprzedniej jeszcze nocy, nie zważając ani na późną porę, ani na możliwość złego humoru komendanta, zapukał do drzwi tego dygnitarza, tłumacząc swoją późną wizytę bardzo ważną sprawą.

Komendant portu, Francuz z pochodzenia, kapitan Campote, miał słabość do swego łysego pisarza, — przyjął go więc leżąc w łóżku i spokojnie, jakkolwiek nie bez spojrzeń pełnych nieufności, wysłuchał jego opowieści o młodziutkim Maćku i jego ochocie do dalekiego lotu.

W miarę opowieści jednak zapał pana Jaksy począł się udzielać i panu Campote, tak że wreszcie, wysłuchawszy wszystkiego aż do końca, wykrzyknął, siadając w łóżku:

— Jeśli to wszystko, co mi pan opowiedział, jest prawdą, to na honor, ten chłopak wart jest poparcia.

— Panie kapitanie, ręczę panu słowem honoru za prawdę mych słów.

— Wierzę panu. Ale przecież to jest historja tak nadzwyczajna, że trudno odrazu pogodzić się z nią, jak z czemś zupełnie zwykłem i naturalnem.

— Jutro rano pozna pan osobiście tego Maciusia i z ust jego posłyszy potwierdzenie mojej opowieści.

— Szczęśliwy kraj, który ma takie najmłodsze pokolenie! — odpowiedział kapitan, zapadając w krótką zadumę.

Dobrą jeszcze godzinę pan Jaksa bawił u kapitana, a gdy wychodził, twarz jego była rozpromieniona, ręce zaś latały jak skrzydła wiatraka, — pan Jaksa lubił bowiem sam ze sobą rozmawiać i gestykulować przy tem dość żywo.

Kapitan Campote był starym wygą powietrznym, nic dziwnego więc, że przygody Maćka, kilkunastoletniego lotnika, wywołały w niem jak najsympatyczniejsze wrażenie. Sprawiała mu przytem wielką radość świadomość, że Maciek jest synem zaprzyjaźnionego narodu i że on, kapitan Campote, może swą władzą dopomóc chłopakowi do wzięcia udziału w nie bylejakiej podróży.

To wszystko razem złożyło się na to, że gdy wreszcie Maciek w towarzystwie pana Piotra i Bartka wszedł do sali komendantury portu, gdzie władze miasta i przedstawiciele lotnictwa egipskiego przyjmowały europejskich „obleciświatów“ śniadaniem, — wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę, a po chwili zupełnej ciszy jeden potężny okrzyk zatrząsł murami sali:

— Niech żyje mały pilot!

Maciek, zarumieniony aż po włosy, w zmieszaniu zapomniał choćby ukłonem powitać zebranych. Wyręczył go w tem Bartek znakomicie, bo wysunąwszy się przed niego, palnął na głos, na całe szczęście po polsku:

— A co, nie mówiłem? Chłopak jak wół, panowie!

Z okrzyku jednak zebranych łatwo było wywnioskować, że już wszyscy znali przygodę Maćka i słyszeli o planie jego dołączenia się do lotu naokoło świata.

Niemniej jednak Maciek musiał raz jeszcze opowiedzieć dokładnie wszystkie swe przejścia od chwili wylotu z Warszawy aż do przybycia do Kairu.

Gdy później kapitan Campote, po krótkiej naradzie z panem Piotrem, przedstawił zebranym plan dalszej podróży Maćka i zwrócił się z prośbą do lotników, by ze swej strony nie stawiali przeszkód, ci jednogłośnie i bardzo chętnie zaprosili Maćka do swego towarzystwa, uważając go za najmłodszego na świecie kolegę, mogącego przynieść całemu lotnictwu chwałę.

Po wesołem i przyjacielskiem śniadaniu odbyła się długa rozmowa nad szczegółami przyłączenia się Maćka do wyprawy.

W naradzie wzięli udział wszyscy lotnicy z panem Campote i Maćkiem, oraz pan Piotr i pan Jaksa.

Wykpił się od niej tylko Bartek, woląc w imieniu Maćka i nieobecnych lotników zbierać zaszczyty i toasty z rąk i ust pozostałych na sali biesiadników.

Miało to ten dobry skutek, że Maciek mógł spokojnie rozmawiać, nie bojąc się już o Bartkowe kapralskie mieszanie się do dyskusji, Bartek zaś mógł swobodnie roztaczać przed obywatelami kairskimi fantazje na temat ludożerców w Niam-Niam, ich ujarzmienia, oraz podbicia całej środkowej Afryki, łącznie z Saharą i Madagaskarem, w imię cywilizacji i trzeciej dywizji, czternastej kompanji karabinów maszynowych.

O trzeciej po południu skończyły się narady.

Odlot lotników ku półwyspowi Arabskiemu i dalej do Kalkuty miał nastąpić nazajutrz o godzinie 4-tej rano.

Do tego czasu Maciek, kapitan Campote i dwóch mechaników, oraz Bartek, zamianowany nagwałt mechanikiem Orła, mieli opatrzyć i przygotować Maćkowy samolot do niespodziewanej drogi.

Tymczasem całe towarzystwo gromadnie poszło oglądać ten niezwykły aparat, aby nabrać przekonania o jego zdatności do tak dalekiej i bogatej w różnorodne warunki podróży.

W ten to sposób, w przeciągu jednej doby zaledwo, zmieniły się gruntownie plany powrotu Maćka do ojczyzny. Nie miał on już ani mocy, ani ochoty przeciwić się czekającej go przygodzie. Sumienie jego uśpiło się wiarą i nadzieją, że po zwycięskiem dokonaniu lotu listek wawrzynu, za jego przyczyną dodany do chwały lotnictwa polskiego, okupi suto jego bądź co bądź samowolną w tym wieku decyzję.

Gdy wieczorem, po kilku godzinach spędzonych w hangarze na czyszczeniu i opatrywaniu Orła, zasiadł w domu pana Piotra do biurka, by napisać list do ojca, oczy jego wilgotne były od łez, a serduszko ściskało się tęsknotą i wzruszeniem.

Po długiem mozoleniu się wreszcie przepisał list na czysto:

„Najdroższy i najukochańszy Tatusiu!

Sam nie wiem, jak Ci mam opisać to wszystko, ale pan Piotr Sochacki, ten, co ma duży sklep w Kairze, i pan Jaksa Bączalski, który jest dla mnie bardzo dobry, obiecali sami napisać do Ciebie o całej mojej przygodzie i poprosić Ciebie, abyś się ani na mnie, ani na Bartka, ani na nich nie gniewał.

Oni mówią, że tak powinno być, żebym ja polskich lotników zastąpił w tym locie naokoło świata i że już niema czasu, aby kto inny, a nie ja, poleciał. Pan Piotr jest bardzo dobry i wesoły i dużo pieniędzy daje na to, abym ja mógł polecieć. Bartek mówi, że my Polski „nie poszkapimy".

Ja nie wiem wprawdzie, co to znaczy, ale czuję, że powinienem tak zrobić. Pan kapitan Campote pytał się, czy ja się czuję na siłach i czy Orzeł wytrzyma. A ja na Orle czuję się tak dobrze, jak kiedyś na koniu z biegunami, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

Najdroższy Tatusiu! Daruj mi, proszę, że nie czekając ani na Twoje, ani na pana jenerała pozwolenie, zamiast do

Warszawy, lecę do Kalkuty i dalej. Jak przyjadę najdalej za miesiąc, albo za dwa miesiące, to Ci wszystko dokładnie opowiem i jeszcze raz bardzo a bardzo przeproszę.—A egzamin do czwartej klasy zdam na pewno, bo wiem, żeby Cię to bardzo zmartwiło, gdybym nie zdał.

Pani Lilit to taka bardzo ładna i dobra żona pana Piotra. Ona mi dzisiaj kupiła dużo bielizny na drogę i dwa ubrania. A Bartkowi też.

Pan Piotr mówi, że to są wszystko koszta podróży, które on pokrywa. Ja się na tem nie znam, ale jak pan Piotr przyjedzie do Warszawy, to Ty się z nim sam porachujesz, a on mi obiecał, że do nas zajedzie.

Czy Ty już jesteś zdrów, Tatusiu? Bardzo mi przykro bez Ciebie i chciałbym jak najprędzej być już z Tobą. Ale ja muszę lecieć, bo przecież nie mogę stchórzyć.

Czy pan jenerał już się na mnie nie gniewa?

A powiedz, Tatusiu, Jaśkowi Sianożęckiemu, że jak przyjadę, to go poproszę, aby ze mną lekcje do egzaminu przerobił.

Tu jest pełno murzynów i Arabów, takich samych, jakich widzieliśmy w kinie.

Cioci chciałem kupić krokodyla na pamiątkę, ale onaby się może nastraszyła, to jej przywiozę co innego, albo Bartka, bo on też lubi dużo gadać.

Jeszcze raz Cię proszę, Tatusiu, abyś się na mnie nie gniewał i kochał swojego syna

Maćka".

Nazajutrz punktualnie o godz. 4-tej rano nastąpił odlot eskadry „obleciświatów".

Nieprzebrane tłumy publiczności różnokolorowej żegnały odlatujących z takim entuzjazmem i rozrzewnieniem, jakiego Kair chyba od bardzo dawna już nie pamiętał. Żaden z biorących

udział w locie nie miał tu ani krewnych, ani bliskich znajomych. A jednak miało się wrażenie, że to jedna olbrzymia rodzina żegna swoich najbliższych, lecących po sławę i po przyszłość dla niej, dla całej ludzkości.

Najserdeczniej jednak i z największem wzruszeniem żegnano Maciusia.

Wieść o niem i o jego nadzwyczajnych przygodach podano we wszystkich gazetach, i teraz tłum oblegał jego aparat, aby go zobaczyć na własne oczy.

Tuż przy Maciusiu stali pan Piotr z żoną i pan Jaksa, sprawcy jego odlotu i tak mu bliscy sercem, jakby go od urodzenia znali i jakby pokładali w nim najżywsze swoje nadzieje. Pani Lilit co chwila ocierała łezkę, pan Piotr chrząkaniem pokrywał swoje wzruszenie, pan Jaksa zaś, dobry, łysy pan Jaksa, kręcił się i wiercił, coraz chowając się za aparat, lub za czyjeś plecy, by broń Boże nikt nie spostrzegł, że i jego wypłowiałe, krótkowzroczne oczy pełne są łez ledwo powstrzymywanych.

Wreszcie komendant portu dał znak. Publiczność odstąpiła z przed aparatów, lotnicy wskoczyli na swe miejsca.

Ostatnie spojrzenia i uściski rąk, ostatnie życzenia dobrej drogi...

Znowu znak komendanta portu — i oto pierwszy aparat, zaturkotawszy łapanym w motorowe płuca oddechem, ruszył przed siebie. Za nim po pewnej chwili drugi i trzeci i czwarty ptak skrzydłami wparł się w powietrze i wreszcie ostatni, ten najżywiej żegnany, ten prowadzony ręką dwunastoletniego chłopaka Orzeł, posunął się lekko odbijając od ziemi.

Rozległ się wielki okrzyk tłumu. Tysiące rąk powiało chustkami i czapkami, a po ziemi, niemal cieniem aparatu, puścił się pędem jakiś mały, łysy człowieczek.

To pan Jaksa Bączalski, jakby w tej ostatniej chwili zdecydował się odlecieć, nie panując już nad swem wzruszeniem, na krótkich nóżkach chciał dopędzić ptaka.

Ale ptaki coraz szybciej oddalały się, jeden po drugim znikając w wysokiem, zaróżowionem wschodem słońca powietrzu.

— Maćku! Maćku!

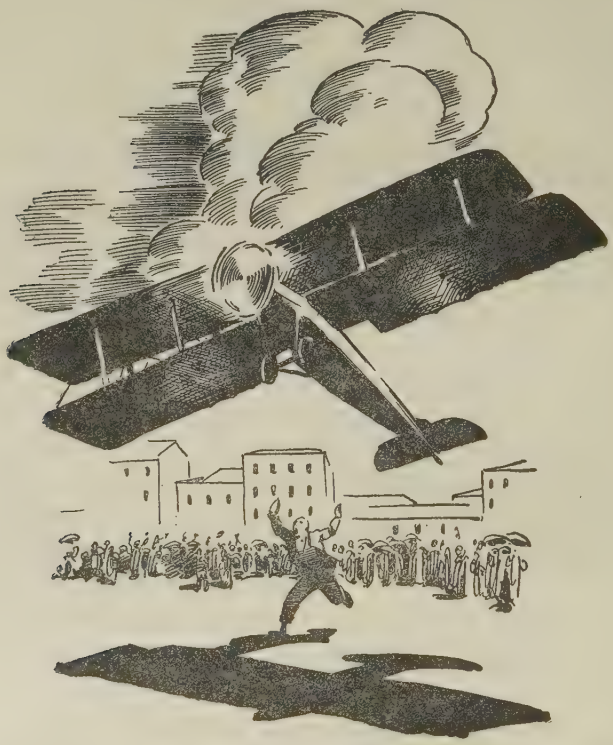

„... niemal cieniem aparatu, puścił się pędem... człowieczek" (str. 27).

Ale Maciek tego okrzyku, wydzierającego się z piersi pana Jaksy, już nie słyszał.

Przystanął tedy pan Jaksa i zdziwionemi oczyma, pełnemi łez i jakiejś dziwnej tęsknoty, dopóty ścigał Orła, aż ptak zamienił się w punkt mały i wreszcie znikł w błękicie.

I kto wie, jak długo stałby tak pan pisarz lotniska kairskiego, gdyby go nie obudziło z zadumy dotknięcie małej rączki. To pani Lilit stała za nim.

— Pan Jaksa nie płakać! My jechać z pan Jaksa do Polska. My jeszcze zobaczyć mały Maczek.

Państwo Sochaccy ujęli pana Jaksę pod ręce i powiedli go do swego domu, by jeszcze długo, długo rozmawiać o małym chłopaku i jego kapralu, którzy tak dziwnie przypadli im do serca, a których w przezroczyste powietrze uniosło prawo przygody.

III. OD KAIRU DO KALKUTY.

Pierwszy ciąg lotu, wynoszący 1800 km, na drodze z Kairu do El-Katif, nad zatoką Perską, przeszedł jak najlepiej, pozwalając ugruntować się nadziei, że i dalsze przeloty udadzą się dobrze.

Drogę tę przebyto w niecałe osiem godzin, z przeciętną szybkością 250 km na godzinę.

O ile sam początek lotu, przez pierwsze trzy godziny, był urozmaicony ciągłemi zmianami konfiguracji terenu, nad którym leciano, o tyle środek i koniec drogi, ciągnącej się ponad monotonnym płaskowyżem Szamar ku zatoce Perskiej, odznaczał się tylko szalonym upałem i niezmienną ponadpustynną jednostajnością.

Po czarującej dolinie dolnego Nilu, po niebieskiej, głębokiej szczerbie kanału Sueskiego, po nagle wystrzelającej opoce półwyspu Synai z jego kamienistą i rozfalowaną pustynią El-Tik, po granicznym, niezbyt wysokim pasie nadmorskich gór krainy Hedżas, nastąpiło istne morze piasku, ledwo tu i tam urozmaicone jakiem skamieniałem miasteczkiem, albo zarysowane

kreską niewyschłej jeszcze rzeczki. W ostatniej dopiero godzinie tej drogi samoloty wpłynęły nad jałowy i dość skalisty wyż El Hasa, dobijając do przygotowanego na ich przyjęcie portu w El-Katif.

Dobrze zdrożonych lotników, przez osiem godzin bez przerwy trzymających ręce na dźwigniach sterowych, owionął lekki, słony podmuch od zatoki.

Ciała, opływające strugami potu, odetchnęły.

Ten lot, jakkolwiek nad równym terenem i bez żadnych przywidywanych przeszkód, długością swoją, a przedewszystkiem nieustannem szybowaniem w podzwrotnikowem słońcu, miał być egzaminem wytrzymałości i loników, i ich aparatów.

Dalsze etapy lotu były wprawdzie znacznie krótsze, ale zato najeżone łańcuchami górskiemi, w których o lądowaniu mowy być nie mogło, — albo też prowadziły ponad morskiemi otchłaniami, gdzie opadnięcie aparatu równoznacznem niemal mogło być z jego zatraceniem.

A zatem na samym początku wyprawy trzeba było zdecydować o zdolnościach i wytrzymałości nietylko aparatów, ale i ich kierowców.

Pierwszy ten egzamin wypadł zupełnie dobrze.

Wszyscy byli bardzo zmęczeni i żarem słońca przepaleni docna, ze wszystkich jednak oczu biła dzielność i pewność siebie.

Największe atoli zdumienie wywoływało to, że najmniej bodaj zmęczenia okazywał najmłodszy pilot, to jest Maciuś.

Czy to skutkiem niedawnych olbrzymich przelotów ponad Afryką, czy może dzięki młodości swojej, niewiadomo, — ale istotnie po tym olbrzymim locie Maciek tak raźno poruszał się i tak żywo rozmawiał z witającymi gości Arabami, jakby nie 8 godzin, ale kilkadziesiąt minut zaledwo bawił w powietrzu.

Nawet najmniej wierzący w siły Maćka i prawie niechętnie początkowo zgadzający się na jego współuczestnictwo w locie

pilot hiszpański don Cabalos nietylko przestał milczeć, ale z całem uznaniem uściskał małą, a tak dzielną rączkę chłopaka.

Najbardziej zaś zmęczonym okazał się pan kapral Bartłomiej Paciorek.

Do niego wprawdzie należało w czasie lotu dbać o zaspokajanie pragnienia i apetytu Maćka, — ale też poza tem zajęciem powietrznego kucharza (przyczem zresztą Bartek o sobie równie dobrze pamiętał), nie miał nic więcej na głowie.

Tłumaczył on się wprawdzie tem, że każdej chwili musiał uważać na ruchy Maćka, aby „ten smarkacz w czem nie pobyczył", tłumaczenia tego jednak nikt nie brał na serjo. Złośliwi twierdzili, że to raczej wczorajsza uczta w Kairze dopomina się o strawienie.

Po przenocowaniu w jakimś dość podłym hotelu, na drugi dzień znowu o 4-tej rano eskadra ruszyła w dalszy lot. Na ten dzień przypadała droga z El-Katif do Karaczi, portu leżącego niedaleko delty Indusu, z dwugodzinnym wypoczynkiem obiadowym w Bender-Abbas nad cieśniną Ormus.

Pierwsza część drogi, wynosząca 600 km., prowadząca nad zatoką Perską i południowem pogórzem Laristanu, przeminęła w zachwycającej a ciągłej zmianie krajobrazu, wypełnianego niedokuczliwym a pełnym jasności i barw porankiem podzwrotnikowym.

Tuż po opuszczeniu El-Katif, na południe od przelotu pięciu turkoczących ptaków, wyrosły skaliste, ale bogate w perły i ongi słynne korsarzami wyspy Bahrein.

Zaledwo znikły one poza aparatami, a już na wschodzie, ponad ciemną, szmaragdową taflą zatoki, poczęła się rysować granatowa piła gór Laristanu. Wkrótce jeszcze dalej, na południu, jakby mur zamykający zatokę, począł się wynurzać z wody ostry, dziki i wysoki cypel półwyspu Oman.

Przeleciawszy ponad małemi wysepkami, rozsianemi przy brzegu, i ponad pełnemi zieleni i dość dzikiemi górami, po nie-

całych trzech godzinach samoloty opuściły się na ciasne i niewygodne, widocznie w pośpiechu dla nich zbudowane, — ale zato w przecudnem leżące otoczeniu lotnisko małej mieściny Bender-Abbas.

Powitani przez jakiegoś Persa i dwóch Anglików, a otoczeni kilkunastoma wyrostkami o ciemnej skórze i marzących oczach, przybysze udali się do przygotowanego dla nich namiotu, miasteczko bowiem leżało dość daleko od lotniska.

Po dwóch godzinach odpoczynku, zabrawszy świeży zapas benzyny „na wszelki wypadek", wielkie ptaki znowu odbiły od ziemi, by przebyć następną część drogi, przypadającą na ten dzień, a wynoszącą przeszło 1100 km. Droga ta prowadziła nad dzikiemi i niedostępnemi górami Mekran, oddzielającemi gorące i piaszczyste wybrzeże od dalszego lądu.

Rozkapryszeni trochę przepięknym i niezbyt upalnym porankiem, lotnicy wzbili się ponad góry. Niestety, czekała ich tu niemiła niespodzianka. Oto nagle ogarnął ich taki suchy i taki przeraźliwy żar, jakby wjechali nad środek samego piekła.

Nie ochładzani najmniejszym podmuchem, bez możności ukrycia się przed coraz bardziej prostopadłemi promieniami słońca, potracili wnet dobre miny. Chcąc jak najprędzej wydobyć się z tego piekła, na którego dnie jeżyły się iglice skalistych gór, puścili aparaty pełnym gazem.

Ciąg ptaków prowadził przemiły, drobny, zgrabny Francuz Montcornet, mając o kilkadziesiąt metrów za sobą i trochę ku górze aparat Maciusia.

Wszystkie aparaty, umyślnie budowane i przysposobione zgóry do najróżnorodniejszych warunków, w jakich miały się w czasie wyprawy znaleźć, posiadały zasłony ruchome i daszki ponad głowami pilotów. Jeden jedyny samolot nie posiadał takiej ochrony, a był nim Orzeł. To też słońce najbardziej dawało się we znaki Maćkowi i Bartkowi.

Właśnie nad tem rozmyślał Maciuś, gdy nagle tuż nad głową swoją zobaczył jakiś ciemny płat i ... w tej samej chwili

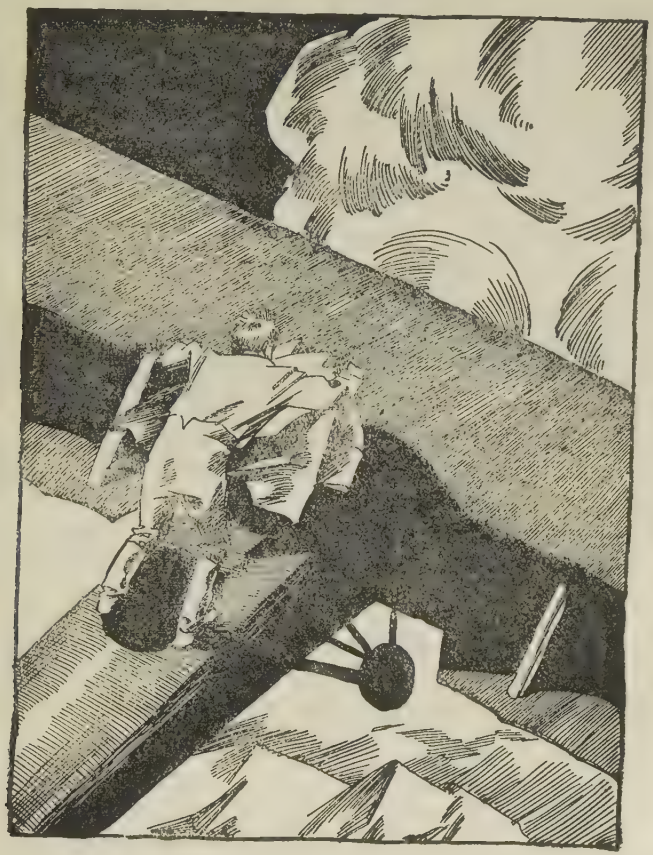

„Dreszcz przeszedł po ciele Maćka..." (str. 34)

poczuł na twarzy i głowie miły półcień (o cieniu zupełnym w takiem słońcu ani mowy być nie mogło).

Zdumiony podniósł oczy do góry i zobaczył, że to pan kapral usiłuje nad głowami rozpostrzeć dach ze swej bluzy. Dreszcz przeszedł po ciele Maćka; czynność bowiem taka, jaką wykonywał Bartek, była szaleństwem. Na wysokości 1000 merów, w szalonym pędzie, wyleźć z siedzenia wewnątrz kadłuba i opierając się o burty samolotu, bez najmniejszego ubezpieczenia majstrować ponad głowami mógł naprawdę tylko taki zawadjaka, jak Bartek.

Ale cóż? teraz ani mowy być nie mogło o zwróceniu mu uwagi, czy o zakazaniu tej gimnastyki. Musiał więc Maciek, drżąc z niepokoju, a zarazem z gniewu, milczeć przez długie dziesięć minut. Być może, dzięki właśnie niezdawaniu sobie sprawy z niebezpieczeństwa, robota udała się Bartkowi i marynarka, przymocowana z przodu do wiązadeł skrzydeł, z tyłu zaś podparta jakiemiś drążkami, furkocząc połami, stworzyła naprawdę jaki-taki dach nad głowami.

Zaledwo jednak Bartek usiadł na swem miejscu, gdy Maciek, nie powstrzymując już swego gniewu, zakrzyczał do tuby:

— Warjacie jeden! Kto ci pozwolił z miejsca wyłazić?

— Ładna podzięka za moją opiekę i cień od tego szatańskiego żaru!

— Szaleńczei Mogłeś spaść jak piórko.

— Jeszcze prędzej bylibyśmy się spiekli obaj jak kurczaki.

— Ani mi się waż więcej na coś podobnego!

— Zgoda, pułkowniku, ale w takim razie pozwól, że wysiądę z tej piekielnej karety.

— Co takiego?

— Pozwól, że wysiądę. Nie mam wcale zamiaru służyć ci swoją pieczenią. Jeśli ci moja bluza zawadza, to ją zaraz zdejmę i wysiadam.

Po takiem odezwaniu się Maciek, rozśmieszony samą propozycją Bartka, już się nie odezwał, odkładając dalszą burę na później.

Nie zamilkł jednak Bartek, przez długi czas mruczał jeszcze do tuby o niewdzięczności ludzkiej i potrzebie „wzięcia krótko" Maćka, który zapomina, że to on, Bartek, z niego zrobił i króla i człowieka.

Po dwóch godzinach lotu w atmosferze tak suchej, że poprostu oddech parzącej, gdy już się zdawało, że ze spieczonych ust języki wnet uciekną, łańcuchy dzikich gór nagle odchyliły się ku północnemu wschodowi i samoloty wszybowały ponad południową wyżynę pustynną Beludżystanu.

Zmiana ta byłaby niczem dla przypiekanych żywcem lotników, tem bardziej że słońce akurat przez południe przechodziło, gdyby nie jednoczesny z tą zmianą podmuch chłodnawego wiatru od północy. Nareszcie usta połknęły trochę świeżego powietrza, nareszcie piersi raźniej odetchnęły.

Chwilę ulgi najgodniej uczcił Bartek, wsadzając sobie i Maćkowi w usta potężne płaty owsianego placka, pieczonego na miodzie.

Już to trzeba przyznać, że z obowiązku dbania o żołądek Bartek wywiązywał się bez zarzutu.

Po następnej godzinie samoloty skręciły ku południowi, wlatując znowu ponad morskie fale. Ta część lotu, w porównaniu do poprzedniej, była poprostu rozkoszną. Lekki wiatr, zaprawiony teraz wilgocią i ciągnąc od morza, pozwalał jako tako przynajmniej oddychać, dzięki czemu i żar słońca stał się mniej dokuczliwym.

Niedługo potem zamajaczyły wprost na wschodzie białe plamy budynków portu Karaczi.

A więc i drugi etap lotu kończył się szczęśliwie, dodając pilotom hartu i odporności.

Już widać, jak płytkie fale biją grzywami o kamienne molo portu. Już bije w oczy zieleń pól pszenicznych. A w kilka minut później pięć ptaków, rozpalonych słońcem i strudzonych daleką dro-

gą, opada na twarde i kamieniste, ale przestronne i wygodne lotnisko.

Kilku Anglików otacza przybyszy i składa życzenia, serdecznie ściskając dłonie.

Samoloty wciągają do hangarów, gdzie mechanicy mają dopilnować ich oczyszczenia i odświeżenia. A gości porywają auta i uwożą do pobliskiego miasta na dobrze zasłużony odpoczynek.

Chłopięce oczy Maćka z ciekawością spoglądają na wszystkie strony.

A więc to już kraj Indusów, o których tyle się naczytał i nasłuchał.

Dodany do boku Maćka uprzejmy towarzysz, urzędnik administracji angielskiej portu, opowiada Maćkowi po francusku skąpe wiadomości o mieście i ludziach. Więcej bowiem wypytuje małego pilota o lot dotychczasowy i o dalsze plany.

A Maciek coraz ogląda się za jakąś grupą ludzi o ciemnej, niemal murzyńskiej barwie skóry, o dużych, marzących oczach i czarnych kędziorach włosów.

Jest ich niewielu. Nie tłoczą się i nie otaczają tłumnie przybyszów, przystają odniechcenia i spokojnie im się przypatrują

Port Karaczi, leżący przeszło o 100 km od niespławnej delty rzeki Indus, a połączony koleją z jej górnym żeglownym biegiem, — łączący pustynną krainę Sind z morzem i drogami na zachód, to mała mieścina, zamieszkana przez Drawidów (mieszaninę plemion zagnanych tu z północy), a rządzona przez garstkę Anglików.

Poza cudowną panoramą z jednej strony otwartego morza Arabskiego, z drugiej (od północy) gór Soliman, a z dwóch innych stron pustyni, poprzerywanej oazami gajów palm daktylowych i pasami pól, — przybysze nie mieli nic tak dalece ciekawego do oglądania w tym głównym porcie północno-zachodniego Indostanu.

To też schroniwszy się przed żarem słonecznym w murowanem z kamienia kasynie portowem, słuchali opowieści Anglików o nie tak dawnych napadach na tę krainę górali afgańskich. Pozatem niedużo więcej o życiu tutejszem umieli opowiedzieć. Snadź suchy klimat i niegościnne odcięcie od świata i na nich wpłynęło wyjaławiająco.

Znużeni wyczerpującym lotem, a także potrosze monotonnemi opowieściami gospodarzy, napowietrzni wędrowcy wcześnie udali się na spoczynek, tem bardziej że nazajutrz postanowili wylecieć o samym świcie, t. j. około godz. 2-giej po północy.

Gorąca i duszna noc, nie rozchwiana najmniejszym podmuchem, nie przyniosła im, niestety, zbyt wiele pokrzepienia.

To też o świcie, gdy wreszcie pierwszy chłód począł opadać, podróżnicy chętnie wskoczyli do aparatów, obiecując sobie wreszcie wydobyć się z tego piekielnego klimatu.

Zasuszeni słońcem i monotonją tutejszego życia Anglicy powiali płóciennemi hełmami na pożegnanie, zaturkotały motory samolotów, i znowu pięć ptaków wzbiło się w przestworze.

Nastąpił długi, siedem godzin trwający lot z Karaczi do świętego miasta Indusów Benares. Na wysokości 500 m, wypuszczeni równym biegiem 250 km na godzinę, kierując się wprost na wschód, lotnicy zaledwo od czasu do czasu uważali zmianę plam terenu, mijającego pod ich nogami.

Przez dwie pierwsze godziny szybowali ponad zieloną, ale dość skąpo uprawioną niziną, mijając rozłożoną na północy pustynię Thar. Wraz z różowym, przeczystym wschodem słońca, wróżącym podobny do poprzednich dzień upalny, przelecieli ponad górami Aravali, jakby nad progiem do północnego Dekanu.

I znowu blisko trzy godziny lotu nad płaskowyżem kamienistym, pokrytym bujną roślinnością, zamieszkanym znacznie gęściej od poprzedniej krainy.

Nie prażony jeszcze słońcem, a oddychający całą pełnią lotu, Maciek z niezmierną ciekawością to wpatrywał się w zie-

mię pod nogami, to studjował doskonałą mapę, wyjętą z paczki map, ofiarowanych mu przez prowadzącego lot kapitana Montcorneťa.

Każde zaś swe spostrzeżenie co do terenu, skontrolowane rzutem oka na mapę, sygnalizował odrazu Bartkowi, — który zresztą nie omieszkał dodawać zawsze swój własny komentarz do objaśnienia.

W ten sposób minęli rzekę Czambal. Niedługo potem przesunęło się na północnym horyzoncie miasto Gwalior, ziemia poczęła się coraz bardziej zagęszczać palmowemi lasami, tu i ówdzie pokazywały się już plantacje trzciny cukrowej i bawełny, jaskrawiły się oliwkową zielenią gaje bananów.

— Bartku, zbliżamy się do świętej rzeki.

— Zamieszkanej przez święte krokodyle.

— A skąd wiesz?

— Domyślam się.

— Patrz, patrz, tam daleko na północy, ta niebieska jasna wstęga to Ganges.

— Ma się rozumieć, królu.

— A widzisz, wcale się nie rozumie, bo to dopiero Dżumna. A Ganges to ta druga wstęga, jeszcze dalej.

— Przecież ja o tamtej myślałem.

Wreszcie na wschodzie wystrzeliła setką wieżyc forteca i zarazem handlowe miasto Allahabad.

— A wiesz, czem to miasto jest słynne, Bartku?

— Pewnie osłami i wielbłądami, kiedy i nas tam bogowie niosą.

— Po pierwsze, my tam wcale nie lądujemy; a następnie, zapamiętaj sobie, panie kapralu, że to jest miasto węzłowe dróg kolejowych i rzecznych.

— A ty skąd wiesz?

— Uczyłem się tego rok temu w geografji.

— To pewnie Anglicy tu gospodarują?

— Anglicy tu rządzą, ale gospodarzem jest radża indyjski, albo maharadża.

Wreszcie pięć rozpędzonych ptaków wleciało ponad dolinę Gangesu, tej przepięknej, olbrzymiej świętej rzeki.

Na wschodzie zamajaczył cały las wieżyc Benaresu.

Aparaty obniżyły lot, przelatując ponad tem świętem miastem, słynnem ze swych 1000 świątyń i z pielgrzymek.

Przelatując nad Gangesem, lotnicy widzieli całe tłumy Indusów, zalegające malownicze jego brzegi, zabudowane wielkiemi gmachami świątyń, pałaców i domów.

— Czy to kto się utopił? — zapytał Bartek.

— Nie, to pielgrzymi kąpią się w Gangesie, by oczyścić się z grzechów.

— Muszą strasznie grzeszyć, kiedy ich się tu zebrały takie tłumy.

— Bo tu przychodzą pielgrzymki z całych Indyj.

— Śliczne miasto. Wartoby teraz tu zjeść jaki przyzwoity obiad.

— No, to się ciesz, żarłoku! Tu lądujemy.

Istotnie, aparaty obniżyły lot i wnet osiadły na doskonale urządzonem przez Anglików i widać często używanem lotnisku.

Mimo wczesnej godziny słońce już dobrze przypiekało, rozpalając kamienie i cegły wąskich, krętych, staremi budowlami obstawionych uliczek.

Po pożywnem, niemal z samych jarzyn i owoców złożonem śniadaniu, przybyli goście, w otoczeniu Anglików i dygnitarzy dworu maharadży, udali się pieszo na miasto, rozłożone przeważnie nad brzegami Gangesu, by się przyjrzeć jego dziwnemu życiu wschodniemu.

Zbliżało się właśnie święto „dżagernat", więc ulice i place zapchane były tłumami pielgrzymów. Czarne ciała Indusów okrywały przeważnie tylko białe krótkie spodnie, opięte dokoła

bioder, a głowy osłonięte były jednakowemi białemi zawojami. Tu i tam zabarwił się jakiś szal kolorowy, a już na palcach można było policzyć ludzi w europejskich ubraniach.

W gankach i na placach grupy ludzi otaczały fakirów, zadających sobie publicznie straszne katusze dla umartwienia ciała.

Ze wszystkich stron napływały wciąż świeże rzesze wiernych wyznawców Siwy, prowadząc obładowane wielbłądy.

Wokoło przepięknych, strzelistych wieżami świątyń rozlegał się wielki wrzask, pisk dzieci i zawodzenia kalek.

Najbardziej jednak rojno i gwarno było nad brzegami Gangesu. I w wodzie i na brzegu kołysało się jedno wielkie morze głów ludzkich i ciał pragnących oczyścić się z grzechów. Pomiędzy tym tłumem po wzburzonej wodzie zwolna przesuwały się łodzie i małe statki, pilnujące porządku wśród rojowiska zapamiętałych wyznawców braminizmu.

Na oglądaniu tego jedynego w swoim rodzaju miasta i jego życia podróżnym tak szybko przeszedł czas, że ani się spostrzegli, jak przeminęło południe, zalane potopem żaru słonecznego.

Dopiero gdy tłum pielgrzymów począł się kryć pod dachy, i oni pośpieszyli do pałacu maharadży, gdzie czekał na nich suty obiad i godzina drzemki.

Ciasno się Bartkowi zrobiło w samolocie po opuszczeniu przepysznego i pełnego bogactw pałacu władcy. To też odrazu zaznaczył swoją krzywdę, wrzeszcząc przez tubę do Maćkowego ucha:

— Wiesz, pułkowniku? nasz los jest garbaty.

— Cóż ci znowu siadło na nos?

— Mogliśmy byli zostać na dworze maharadży.

— A to poco?

— Bo zdaje mi się, że za jaki rok jabym mógł doskonale objąć jego nienajgorszą posadę.

— Co też ty wygadujesz? Przecież to władca Indusów!

— A każdemu Anglikowi kłania się.

— Bo politycznie on podlega Anglji.

— No, to i jabym potrafił.

— Widzi mi się, Bartku, żeś zachorował na „cesarza".

— Bo to nie żadna sztuka pluć pestki z daktylów do kułaka i przechodzić sztywno między zgiętymi do ziemi sługusami.

— No, to, wierzę, żebyś potrafił.

— A może nie? Przypomnij sobie, jak było w Niam-Niam. A przecież tu podobno od wieków tego się uczą, a tam ja, no i ty potrosze, nauczyliśmy dzikusów w dwa dni nietylko kłaniać się, ale i grać na butelkach.

— Ależ, Bartku, kapralu uparty, — tylko nasi dzicy się tego nauczyli, a Indje to kraj, który umie znacznie więcej i znacznie dłużej żyje, niż wszystkie kraje w Europie.

— A ja ci mówię, że pluć do kułaka ja też potrafię i nieraz to robię.

Cóż na to miał Maciek odpowiedzieć? Postanowił sobie tylko pocichu, że w przyszłości da Bartkowi jaką książkę o Indjach, by go przekonać, jaki to dziwnie stary i zapamiętały w sobie i w swej religji kraj przelatują.

Tymczasem samoloty gnały ze zwykłą swą szybkością ku południowemu wschodowi, mijając niezmiernie żyzną i gęsto zaludnioną, choć niezbyt zdrową, dolinę Gangesu.

W czasie południa, to znaczy w porze, gdy podróżnicy niemal przez całe trzy godziny jedli i bawili w pałacu maharadży, spadł niezmiernie gwałtowny i obfity, zwykły tu jednak, deszcz podzwrotnikowy, który chociaż odrobinę odświeżył powietrze. Teraz słońce, zawisłe na przeczystem, niezachmurzonem już nigdzie niebie, zdawało się zatapiać świat cały w powodzi światła jaskrawego i gorąca.

Ciepło to jednak, ponieważ kula słoneczna już dawno przeszła swój zenit, nie było tak dokuczliwe, by lot utrudniało, tem bardziej że od wschodu szedł wiatr wilgotny.

Rozgłośnym trajkotem grające samoloty coraz przepływały ponad jakiemś miastem, wlatując znów ponad rozległe aż po widnokrąg pola ryżu, bawełny i pszenicy, gaje bananów i daktylowe kępy, plantacje trzciny cukrowej, opjum i indygo.

Gęste osady ludzkie, mniejsze i większe wsie i miasta, tu i tam migotliwy wąż toru kolejowego świadczyły o bogactwie tej krainy, pełnej pracowitego ludu w polach i zadumanych nad świętemi rzekami i w świątyniach kapłanów.

Wreszcie na dalekiem południu wybłysła, zalewając cały horyzont, szafirowa taśma.

— Zatoka Bengalska! — oznajmił Bartkowi Maciek.

— No, bo, to i bengalskie tygrysy w niej się łapie? — odpalił Bartek bez namysłu.

— Ależ, kapralu! tygrysy to nie śledzie i żyją na lądzie. Właśnie przelecieliśmy ponad krainą zwaną Bengalją, od której i twoje tygrysy i ta zatoka noszą swe nazwy.

— A to także wiesz z geografji?

— Ma się rozumieć.

— Bo ja te tygrysy znam z menażerji.

— Szkoda, żeś wraz z niemi tam nie został. Oneby cię na pewno maharadżą okrzyknęły, panie kapralu.

— Czekaj, smarkaczu! Będę i ja coś wiedział, o czem ty nie wiesz! Dam ja ci menażerję! — zamamrotał Bartek do tuby, niebardzo zadowolony z Maćkowego docinka.

Tymczasem od strony Kalkuty, rysującej się już nad jedną z odnóg delty Gangesu, wzbiło się kilka samolotów i wesoło furkocząc, leciały na przywitanie wędrownych ptaków z Zachodu.

Chcąc paradnie uczcić swój wlot do miljonowej stolicy Hindostanu, pięć aparatów utworzyło klucz pod ostrym kątem, pozwa-

lając się otoczyć honorowej straży czy świcie nadlatujących samolotów.

I niewiadomo, czy przypadek tak zdarzył, czy tak to urządził prowadzący eskadrę Francuz, dość, że klucz pięciu ptaków prowadził Orzeł z najmniejszym i najmłodszym pilotem w świecie na grzbiecie.

Widząc to, Maciek zarumienił się chłopięcem zawstydzeniem, dziękując całem sercem swoim dorosłym towarzyszom za okazaną mu w ten sposób życzliwość.

Była godzina siódma po południu i słońce dość wysoko jeszcze wisiało nad horyzontem, gdy na zapełnione tłumem ciekawych lotnisko spadły oczekiwane, z zapałem i wzruszeniem witane ptaki.

IV. BARTEK, SŁOŃ I MEWA.

Pobyt w Kalkucie miał potrwać dwa dni, tyle bowiem czasu potrzeba było na dokładne obejrzenie i odczyszczenie aparatów i ich motorów.

Dalszy lot był wyznaczony z Kalkuty do Kai-fung nad rzeką Hoang-ho w Chinach i wynosił 2.800 km. Ze względu na trudności terenowe, miał się odbyć ponad Himalajami i szeregiem pasm górskich bez lądowania; a to oznaczało 12 godzin bezustannego szybowania w powietrzu nadgórskiem, zatem o rozmaitej gęstości, rozfalowanem i kapryśnem, czającem w sobie w dodatku niespodzianki pogody.

Ze względu na to wszystko, lotnikom należał się gruntowny odpoczynek, a ich aparatom dokładne obejrzenie.

Zaraz po przylocie przyjęci niezwykle wystawną ucztą w pałacu wice-króla Indyj (czyli namiestnika króla angielskiego, który jest cesarzem Indyj) i tam umieszczeni, przez cały czas spoczynku mieli zapewnioną najzupełniejszą swobodę.

Wynikało to i stąd, że Kalkuta, bardzo niezdrowa w porze letniej, opuszczona przez wice-króla, bogatszą ludność i Anglików, nie nadawała się w tym czasie ani do przyjęć, ani do urzędowych wystąpień.

Przyjęci przez sekretarza stanu, który w zastępstwie wice-króla umyślnie w tym celu zjechał na kilka dni do Kalkuty, po pierwszem i jedynem urzędowem przedstawieniu i ugoszczeniu pozostawieni byli samym sobie.

Do boku ich dodani urzędnicy pałacowi i miejscowi lotnicy, złożeni z Anglików i Indusów, mieli spełniać rolę przewodników i gospodarzy.

Towarzystwo tak się podzieliło, że nawet Maciek i Bartek chodzili odmiennemi drogami, spotykając się zaledwie przy stole i na noc w pokoju przeznaczonym dla nich do spania.

Po znakomicie przespanej nocy w chłodzonym wentylatorami pokoju, z oknami osłoniętemi firankami przed moskitami, Maciek już o świcie połknął śniadanie i doczekawszy się też swego przewodnika, z którym poprzednio już umówił się na wycieczkę o wczesnej porze, — zbiegł ze schodów pałacu, zbudowanego z nadzwyczajnym przepychem.

Przewodnik Maćka był to młody i zgrabny Indus, znakomicie władający językiem francuskim. Znając przygody Maćka i widząc w tym małym chłopaku uosobienie dziecinnych marzeń o dalekich podróżach, młody Indus, imieniem Ramin, był dla niego nad wyraz uprzejmy.

Ramin tedy zaproponował, korzystając z wczesnego poranku, odbyć wpierw motorową łodzią wycieczkę po Gangesie w stronę morza, a oglądanie Kalkuty odłożyć na później, gdy ulice jej zaroją się różnobarwnym tłumem i gwarem jarmarcznym.

Siedząc na pokładzie zgrabnej i szybkiej łodzi, Maciek z podziwem począł rozglądać się po brzegach rzeki.

Samo miasto, które szybko opuszczali, mimo swego ogromu i mieszaniny europejskiej cywilizacji ze wschodniem zaniedbaniem

i prawie dzikością, narazie nie budziło w Maćku zbytniej ciekawości ani podziwu.

Natomiast całą duszą czekał on na moment, gdy łódź wjedzie w obszar przyrody podzwrotnikowej, o której tak dużo się naczytał i którą wczoraj ledwo z góry oglądał.

Wreszcie poza statkiem pozostały mury Kalkuty, a z coraz gęstszych zarośli poczęły się wynurzać ładne wioski, rozrzucone wśród pól starannie uprawnych.

Małe, z gliny ulepione chatki, pokryte sitowiem, trzciną cukrową lub potężnemi liśćmi bananów, kryjąc się w cieniu drzew, obsiadały przedziwnie i przepięknie zbudowane pagody, rozmodlone swojemi wieżami. Na drzwiach chat jaskrawiły się fantastyczne figury, wymalowane czerwoną farbą: zapewne oznaczały one bóstwa, strzegące ognisk domowych.

Dokoła tych gęsto rozrzuconych, ale małych wiosek, przytulonych do iłowatej i wilgotnej ziemi, całe morze zieleni tak przepysznej i fantastycznej, że przerastała wszelkie opisy.

Z obu stron rzeki prawie niespodzianie wyrosły poprostu olbrzymie ściany gąszczu, zaledwo tu i ówdzie opadające w przedziwne polany, zarosłe olbrzymią trawą. Przybrzeżna ziemia, rozsadzana olbrzymiemi korzeniami drzew mangowych, usuwała się wgłąb wody istnym lasem wysokiej trzciny, jakby broniąc człowiekowi przystępu do lądu.

A ten ląd to jeden wielki, poplątany ljanami gąszcz olbrzymich mangusów, bananów, drzew chlebowych i nadewszystko mnóstwa gatunków palm kokosowych.

Na gąszczu, obwieszonym i poplątanym od stóp do wierzchołków wijącemi się roślinami, rozsiany istny deszcz różnobarwnego kwiecia odurzającej woni i czarującej piękności. Aż na najwyższych wierzchołkach skrzą się złote i białe gwiazdy, aż na fali rzeki kołyszą się kwiaty i liście lotosu.

A wśród tej przyrody, wzdłuż brzegów, mnóstwo małych wysp i wysepek, czarujących oko i kuszących swojem wnętrzem jak bajka.

— O, jakże tam miło musi być mieszkać! — wykrzyknął w pewnej chwili Maciuś na widok jakiejś małej wysepki.

— Mylisz się, przyjacielu, — odpowiedział Ramin, uśmiechając się tajemniczo. — Te wyspy i te brzegi to raj dla roślin i dla zwierząt, ale nie dla człowieka.

— A dlaczego?

— Bo to siedliska zaraz i gorączek, żółtej febry, cholery i tysiąca chorób nienazwanych.

— A jednak tu ludzie mieszkają.

— Są to przeważnie biedacy, trudniący się wycinaniem lasu. Choroby ich dziesiątkują, ale walka o byt napędza nowych nędzarzy na miejsce pobitych.

Słowa te, przypominające tę prawdę, że nie wszyscy ludzie żyją na świecie nawet w znośnych warunkach i że czasami najpiękniejsze na oko warunki kryją śmierć właśnie dla człowieka w swojem wnętrzu, zasmuciły Maćka, dodając jednak w jego oczach dzikiego uroku mijanej krainie.

Jakby dla podkreślenia tego wrażenia, w głębi puszczy wzmógł się wrzask przeraźliwy małp, zawieszonych wysoko na rozłożystych drzewach i wiercący uszy krzyk papug.

Gdzieś z oddali, z samej głębi zapewne, gdzie jeszcze nie dotarło światło dnia, dolatywały wściekłe wycia głodnych szakali, tygrysów i hien.

W chaosie tej piekielnej muzyki byłby się Maciek na pewno zgubił, gdyby nie objaśnienia wciąż uśmiechającego się a zapatrzonego w gąszcz puszczy Ramina.

Wreszcie łódź wjechała w lej zatoki przy ujściu odnogi Gangesu, zarzuconej bagnistemi lagunami.

Tu i ówdzie, na niegościnnych i trudno dostępnych wodach, kołysał się jaki większy statek, odpoczywając snadź wśród jakiejś dalekiej podróży. Dość dużo natomiast snuło się bark, łodzi i małych statków, będących widocznie na usługach tego dziwnego portu, który, mimo trudnych warunków rozwoju i nie-

gościnnych brzegów, w przeciągu dwustu zaledwo lat, z małej wioski urósł do potężnego, niemal półtora miljona ludności liczącego miasta.

Tymczasem słońce wzbijało się ponad puszczę, łódź tedy zakręciła zpowrotem.

Dopiero teraz, po zetknięciu się z tą niesłychanie bujną i dziką, a zarazem wspaniałą przyrodą, Maciuś odczuł prawdziwy urok Kalkuty.

Przedziwna mieszanina pagod, meczetów i kościołów chrześcijańskich, — wytwornych pałaców i glinianych lepianek, marmurowych schodów na brzegach Gangesu i brudnych, pełnych śmiecia wąziutkich uliczek tworzyła naprawdę jeden olbrzymi chaos, nazwany „Kalkuta".

A w tym chaosie rój życia na stubarwnych i tłumnych targowiskach, pełnych wrzeszczących Indusów i grających sztukmistrzów, poważnych Persów, obłożonych dywanami i szalami, i wszędzie plączącej się, łakomej na wszystko, prawie nagiej dziatwy. — Na ulicach szeregi wielbłądów obładowanych dywanami i ciągnione kłusem przez kulisów osłonięte palankiny, z rozwalonymi na miękkich poduszkach bogaczami. Tu i ówdzie zaś na olbrzymim i poważnym słoniu, pod bogatym baldachimem, z długą fajką w ustach, jakiś potężny radża.

A nad Gangesem, na marmurowych schodach i w przezroczystej wodzie, znowu tysiące wiernych, mamrocząc modlitwy, obmywa się z grzechów.

Na każdym kroku tyle barwnych scen, tyle niesłychanie bujnego życia, że Maciek aż oczy przecierał ze zdziwienia.

Olśniony patrzał na wszystko i słuchał wyjaśnień Ramina, kroczącego z nim po przyjacielsku.

Około południa, po siedmiu blisko godzinach wycieczki oglądania, skierowali się wreszcie ku królewskiemu pałacowi.

Właśnie weszli na główną, szeroką ulicę, gdy nagle za nimi rozległ się jakiś wrzask, pisk i tupot.

Przezorny Ramin obejrzał się i jednem szarpnięciem za ramię wciągnął Maćka do jakiejś niszy, i stąd dopiero obaj spokojnie oglądnęli się poza siebie, zobaczyć, co się stało.

Oto gęstwa ludzka wrzeszcząc i piszcząc uciekała na obie strony ulicy, a środkiem drogi pędził rozjuszony słoń, z prze-

„...Środkiem drogi pędził rozjuszony słoń...“ (str. 48).

krzywionym baldachimem na grzbiecie i z jakimś kolorowym radżą, kurczowo trzymającym się ramionami szyi galopującego zwierza.

Słoń pędził jak szalony, waląc potężnemi nogami o bruk i rycząc wniebogłosy z podniesioną do góry trąbą.

Jeszcze głośniej wrzeszczał tłum, uciekający w popłochu. Ale najgłośniej chyba fatalny jeździec na słoniu, z przekrzywionym nabakier zawojem. Tuż za słoniem pędziła gromada Indusów, usiłująca widać dogonić i zatrzymać wyścigowca.

W kilka sekund po ukryciu się Maćka i Ramina w bramie słoń przegalopował tuż przed nimi.

Maciek spojrzał na nieszczęśliwego jeźdźca i aż zadrżał na widok jego wykrzywionej strachem twarzy.

— Jezus! Marja! Bartek!!

I zanim Ramin zdążył się zapytać, o co chodzi, Maciek pogonił wślad za słoniem.

Rozpędzone zwierzę zdołało dobiec zaledwo do rogu najbliższej ulicy. Tu odważni policjanci i tłum powstrzymali je w jakiś tajemniczy sposób.

Słoń zarył nogami w ziemię, a z jego karku jak klucha pacnął na ulicę ledwo już żywy z przerażenia jeździec.

W jednej chwili powstało zbiegowisko.

Do gromady dobiegli ścigający, a jeden z nich, obszarpany i wyglądający na sztukmistrza, szarpiąc policjantów za pętle, począł wrzeszczeć, domagając się aresztowania leżącego na ziemi plackiem maharadży, którego darmo inny policjant starał się postawić na nogi.

Na tę scenę właśnie nadbiegli Maciek z Raminem.

Dzielny chłopak jak mysz wkręcił się pomiędzy tłum i w jednej chwili znalazł się przy leżącym radży.

— Bartek! — krzyknął Maciuś, schylając się nad nieszczęśnikiem.

Na ten głos porwał się leżący radża na kolana i składając ręce jak do modlitwy, zakrzyknął:

— Królu! Ratuj swego sługę!

A więc istotnie Maciek nie mylił się. Fatalny jeździec-radża to był pan Bartek Paciorek we własnej osobie.

— Co ty tu robisz i co znaczy ten strój? — zapytał Maciek.

— Najpierw, królu, uspokój tłum, by mię nie rozszarpał; potem każ odprowadzić nabok to wściekłe bydlę (tu Bartek wskazał na słonia, już zupełnie spokojnie drzemiącego); — a następnie, uwolnij mię z pod opieki szanownej władzy. Wtedy dopiero będę mógł ci opowiedzieć całą historję.

Maciek pogadał z Raminem, Ramin z policjantami, ci zaś z krzykaczem induskim, który przytem poczuł w ręce srebrną monetę, wciśniętą mu przez Ramina; i po chwili słoń z towarzyszami poszedł w jedną stronę, a Maciek, Bartek, Ramin i krzykacz induski w drugą, kierując się do pobliskiej kawiarni.

Dopiero tu z opowieści Bartka, który powoli odzyskiwał rezon, i z wtrącań się Indusa wyjaśniła się rzecz cała.

Oto, rankiem, Bartek wraz ze swoim przewodnikiem, Persem, rozumiejącym po rosyjsku, wyruszyli na miasto.

W pewnej chwili zaszli na jakiś plac, gdzie krzykacz indyjski popisywał się rozmaitemi sztukami, a przytem za małą opłatą przebierał chętnych za radżów i przewoził ich na słoniu.

Bartkowi, choremu jak wiadomo na „radżę", zachciało się spróbować tej roli.

— Może mi się to przecież w przyszłości przydać — opowiadał.

Zręczny kuglarz w jednej chwili na ubranie Bartka zarzucił i opiął szpilkami szaty władcy Wschodu, coprawda mocno już na jarmarkach zużyte, — łeb obwinął zawojem, ustroił go kilkunastoma świecidłami i po drabince wsadził na słonia.

Słoń jak słoń, ruszył powoli i poważnie, w pewnej zaś chwili długą swą trąbę zwrócił ku jeźdźcowi, niewiadomo, czy żeby go obwąchać, czy też żeby otrzymać jaką łakotkę.

Tymczasem Bartek, ufny w swą radżowską minę i pewny, że wszystkie słonie go znają, zamiast pogłaskać słoniową trąbę,—

„Zręczny kuglarz zarzucił i opiął szaty..." (str. 50).

przyciągnął ją do piersi i przytulił. Nieszczęście chciało, że właśnie w tem miejscu wisiała duża agrafa szklana z wystającą szpilą. Szpila ta wlazła w słoniową trąbę.

Biedne zwierzę, zranione w najczulsze miejsce, ryknąwszy straszliwie, porwało się z miejsca jak szalone.

Przerażony Bartek, wyrzucony z pod baldachimu na kark, złapał słonia za uszy. To już do reszty rozwściekliło spokojne zazwyczaj zwierzę.

Słoń więc zaczął pędzić jak szalony, a Bartek, uważając się za radżę, nie za kaprala, ratując się przed upadkiem, trzymał się szyi wyścigowca i wrzaskiem swym jeszcze więcej pobudzał zwierzę do galopu.

Kuglarz, myśląc, że Bartek podstępnie porywa mu słonia, puścił się naturalnie w pogoń za uciekinierami, dobierając sobie innych zawalidrogów do pomocy.

Oto i początek historji, której końca Maciek był świadkiem.

Po ściągnięciu z Bartka radżowskich szat i wyprawieniu Indusa Maciek dopiero dał folgę swemu śmiechowi.

— Ha, ha, ha, panie kapralu! jakżeby pan sprawował swój urząd i godność maharadży?

— Przedewszystkiem przypadek ten nie dotyczy mnie, kaprala Bartka Paciorka.

— A kogóż to? — zdumiał się Maciek.

— Myślę, że tego maharadży.

— Jakiego maharadży?

— A tego, którego słoń poniósł.

— Ależ przecież to ty nim byłeś!

— Tak, ale wtedy byłem radżą i jako radża, wstydzę się mocno, — a teraz jestem kapralem, którego ta sprawa wcale nie dotyczy.

Ten wykręt nic Bartkowi nie pomógł i Maciek przez całą drogę powrotną do pałacu mocno z niego pokpiwał.

Gdy jednak przed pałacem zawstydzony Bartek poprosił Maćka i Ramina o milczenie przed towarzyszami o całej przygodzie, obaj obiecali mu najuroczyściej.

— Tak, ale przecież twój przewodnik cię zdradzi? — oznajmił Maciek po chwili namysłu.

— Nie zdradzi mię, bo zaraz na początku awantury zniknął gdzieś jak kamfora i nie zna jej zakończenia—odpowiedział Bartek.

Po obiedzie Bartek nie odstępował już Maćka i Ramina, wszyscy trzej razem zwiedzali miasto i jego osobliwości aż do późnego wieczora.

Następnego dnia rankiem oglądano jeszcze Kalkutę, całe popołudnie jednak wszyscy lotnicy i ich mechanicy spędzili w hangarach na dokładnem opatrywaniu samolotów i przygotowywaniu maszyn do potężnego lotu ponad wschodnio-południowemi Himalajami.

Pod wieczór wszakże zaszedł smutny wypadek, skutkiem którego kapitan Montcornet lot na jeden dzień jeszcze odłożył.

Oto nagle wśród podejrzanych objawów zachorowało dwóch pilotów: Włoch Giovanni i Hiszpan don Cabalos. Przywołany lekarz pałacowy stwierdził, że jest to prawdopodobnie cholera, i obu chorych przewieziono do lazaretu.

Skutkiem tej choroby popsuły się mocno szyki wyprawie. Przedewszystkiem trzeba było czekać stanowczej wskazówki lekarzy, w wypadku bowiem cholery ani mowy być nie mogło o dalszym udziale chorych w locie.

Stanowcze słowo padło z ust lekarzy już następnego dnia rankiem:

— Cholera. Stan chorych poważny, ale nie beznadziejny.

Kapitan Montcornet zwołał naradę.

W naradzie wzięło udział trzech pilotów: Montcornet, Anglik Duglas i Maciuś, — łącznie z Bartkiem pięciu mechaników, oraz czterech zaproszonych gości z portu lotniczego w Kalkucie.

Rozłożono mapy, rozstawiono cyrkle i poczęto liczyć, rozprawiać i kreślić.

Zebranie trwało przeszło cztery godziny.

Trzeba było zdecydować, czy lot mimo nieszczęścia, zatrzymującego w łożu dwóch pilotów, odbędzie się dalej, — a następnie, jeśli tak, to co zrobić z mechanikami i aparatami obu chorych.

Pierwszy punkt zdecydowano jednogłośnie: nikt z obecnych nie był w stanie w niczem dopomóc chorym. Zostawiano ich przytem pod dobrą opieką lekarzy Anglików.

Właśnie zaczęto radzić nad drugim punktem, gdy do sali wszedł lekarz i oznajmił, iż obaj chorzy, zdając sobie sprawę z tego, że ich dalszy udział w locie jest wykluczony, proszą, aby „mały pilot polski", w dowód ich uznania i sympatji koleżeńskiej, zechciał dalszy swój lot odbyć na jednym z dwóch samolotów, pozbawionych narazie swych panów.

Po tem oznajmieniu cisza zaległa salę.

Mrugając powiekami i czerwieniąc się aż po uszy, Maciek ledwo własnym uszom wierzył.

Miałożby stać się prawdą, by on mógł dalszy lot, najeżony nie byle jakiemi przeszkodami, odbyć na jednym z tych aparatów, umyślnie na tę wyprawę zbudowanych?

Przecież on od samego Kairu martwił się, czy jego Orzeł, mimo nawet przeróbek oczekujących go w Nikołajewsku, podoła zadaniu, włożonemu na jego skrzydła.

A przytem, on sam, Maciek, w otwartem siedzeniu pilota, z magazynem prowjantów u nóg, z Bartkiem również w odsłoniętem siedzeniu, czy miał prawo ważyć się na przelot ponad oceanem Lodowatym?

Prawda, w Nikołajewsku miano dobudować klatkę pilota z kabiną i nieco rozszerzyć na schowki środek kadłuba Orła. Ale czy po tych przeróbkach Orzeł nie straci na sile i zwinności, czy okażą się one wystarczające i dobre?

Odpowiedzi na te niepokojące a najważniejsze pytania miały paść dopiero w Nikołajewsku po przeróbce i wypróbowaniu Orła.

A tymczasem oto zagadka dalszego Maćkowego lotu już teraz może być rozwiązaną, i to w sposób znakomity; o takiem bowiem przerobieniu Orła, by choć wczęści stał się podobnym do swych towarzyszy wyprawy, ani mowy być nie mogło.

Wprawdzie Maciek, do głębi zmartwiony i przejęty chorobą towarzyszy, wolałby stokroć na Orle jechać, byleby im powrócić zdrowie, nieszczęściu jednak temu mógł zaradzić tylko Bóg i dobroczynny lazaret.

Wzruszony Maciuś tedy, za namowami Montcornet'a, Douglas'a i Bartka, przyjął propozycję, prosząc lekarza, by w jego imieniu podziękował chorym jak najserdeczniej,—widzenie się bowiem osobiste z chorymi, ze względu na możliwość zakażenia się, było wykluczone.

Stanęło więc na tem, że zamiast wybranego przez Maćka aparatu Orzeł miał zostać w hangarze kalkuckim i oczekiwać wyzdrowienia chorych. Nad tym punktem postanowiono naradzić się jeszcze na lotnisku.

Gdy narada dobiegła końca, wszyscy zebrani samochodami udali się do hangarów, gdzie Maciek po próbach lotu miał zdecydować się, który aparat zabiera.

Ptak Włocha okazał pewną wyższość nad samolotem Hiszpana. Był lżejszy i szybszy, a zarazem pojemniejszy, — kombinacja jego kół z wysuwanemi nartami do osiadania na śniegu i lodzie, oraz łódek do opadania na wodę, była znacznie zgrabniejsza. Próba lotów wypadła również na korzyść samolotu Giovanniego. Samolot ten nazywał się „Mewa".

Pilocka kabina Mewy, załamaniem wbudowana w brzuch kadłuba, mogła pomieścić trzech, a nawet czterech ludzi, prócz dość znacznego zapasu żywności, benzyny i oliwy.

Aparat ten, wypuszczony z włoskiej fabryki „Ansaldo", przynosił naprawdę zaszczyt swoim twórcom.

Mechanik Mewy, młody i zgrabny, o ognistych oczach Włoch, nazwiskiem Petti, wodząc rozkochanym wzrokiem po aparacie, nie mógł się poprostu nazachwycać jego zaletami.

Petti był nietylko mechanikiem, ale też i pilotem nienajgorszym. Oceniał on doskonale umiejętność lotu Maćka i wiedział, komu swój aparat zachwala.

Maciek zresztą swoją próbą lotu na Mewie wprawił naprawdę w zdumienie i zachwyt zebranych na lotnisku towarzyszy.

Wiedzieli oni, że ten mały chłopak lata wyśmienicie. Ale żeby znał się po mistrzowsku na takich „wirażach“ i „loopingach“, kluczach i załamaniach, wznoszeniach się i zapadaniach, sztuczkach i kruczkach, jakie im pokazał, tego się nie spodziewali. Było to godne uznania tem bardziej, że przecież na Mewie siedział on po raz pierwszy. Wczucie się więc jego w nieznany aparat, szybkie zorjentowanie się w jego cechach było świetnym egzaminem Maćkowego mistrzostwa, a zarazem świadczyło o istotnie niepospolitych zaletach Mewy.

„I ty to mówisz!“ (str. 57)

Po tej znakomitej próbie Petti zagorzał wprost do myśli oddania Mewy Maćkowi.

Dzielny mechanik spodziewał się nie bez słuszności, że z Mewą Maciek i jego zabierze.

Wprawdzie Petti przywiązany był do swego pilota Giovanniego, lecz nie mogąc mu w niczem ulżyć w czasie choroby, chciał bodaj sam na Mewie popędzić pod biegun.

Nadzieje jego miały się spełnić.

Maciek wybrał Mewę, która miała ponieść dalej na swym grzbiecie, prócz małego pilota, Petti'ego i Bartka.

Co do Bartka, Maciuś zaproponował mu z poważną miną, ale w duszy śmiejąc się, że ponieważ Petti jest nienajgorszym mechanikiem, więc „ty, kapralu, możesz pozostać w Kalkucie, nauczyć się jazdy na słoniu i poszukać sobie posady maharadży".

Bartek poczerwieniał na to i aż o krok wtył się cofnął.

— I to ty mówisz! Ty! Maciek I, król powietrza, do swego pierwszego ministra? A cóżby się z tobą i z twoją karjerą stało bez mojej opieki, żółtodziobie?

— Ha, w takim razie, Bartku, jadę sam. Pokażę ci, że bez twojej opieki także dam sobie radę i z Mewy, jak ty ze słonia, nie spadnę.

— Królu, nie żartuj! Wiesz przecież, jak cię kocham.

— Przecież ty chcesz być maharadżą.

— Przekonałem się, że tutejszy klimat mi nie służy.

— Klimat, czy słonie?

— To na jedno wychodzi.

— Myślisz, że ci się na biegunie polepszy?

— Na pewno. Strasznie lubię mrożone śledzie i sardynki z wielorybów.

— Ha, cóż mam robić? Pojedziemy zatem razem.

— Królu mój jedyny!

I Bartek, szczerze do Maćka przywiązany, porwawszy chłopaka w objęcia, począł z nim tańczyć po lotnisku.

Zdecydowano zatem, że Orzeł i aparat don Cabalosa zostają pod opieką mechanika hiszpańskiego w Kalkucie, by po wyzdrowieniu chorych odwieźć ich z powrotem do Europy.

Odlot pozostałych trzech aparatów, t. j. Mewy, do której barw włoskich na skrzydłach Bartek miał jeszcze przed odlotem domalować barwy polskie, — francuskiego Ikara i angielskiego Scotta, naznaczono na godzinę pół do trzeciej po północy nazajutrz.

Zebrane towarzystwo samochodami powróciło do pałacu, pozostawiając na lotnisku Maćka, Bartka i Petti'ego.

Związani przyszłym wspólnym lotem, nowi towarzysze zabrali się do przeprowadzki potrzebnych bagaży z Orła na Mewę.

Trzeba w tem miejscu zaznaczyć, że Maciek opuszczał Orła prawie ze łzami w oczach, pocieszając się jedynie tą myślą, że rozłąka ta nie potrwa długo i że Orzeł, nie zbudowany specjalnie i nie przygotowany do lotów w atmosferze to podzwrotnikowej, to podbiegunowej, nie bierze mu za złe tej rozłąki.

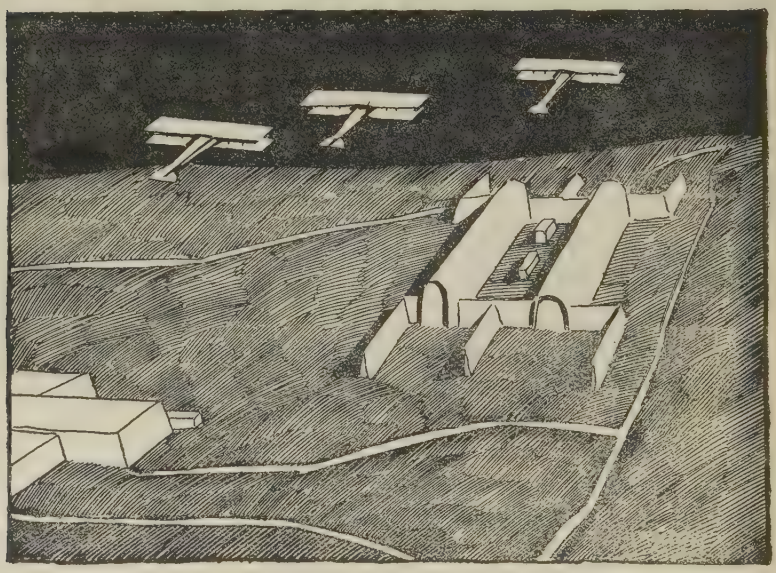

„O godzinie 2 m. 30 po północy" (str. 59).

Odchodząc z lotniska, Maciek wsunął w rękę mechanikowi hiszpańskiemu kilka banknotów z oddanych mu do dyspozycji przez pana Piotra Sochackiego pieniędzy, z prośbą, aby się serdecznie opiekował ptakiem i broń Boże „nie dał mu jakiej krzywdy wyrządzić".

Tego samego dnia jeszcze wysłał Maciek list do ojca, z opisem zaszłych zmian w podróży, podkreślając koleżeństwo i dobroć wszystkich towarzyszy lotu, a szczególniej Giovanni'ego i don Cabalosa.

O godzinie 2 m. 30 po północy, o szarym jeszcze zmierzchu przed wschodem słońca, trzy olbrzymie ptaki, otrząsnąwszy się ze snu rozgłośnym furkotem śmig, wysunęły się lekko z lotniska kalkuckiego.

Pozostawiając stolicę Indyj Angielskich za sobą, uszczuplona o dwa aparaty eskadra skierowała swój lot na północny wschód, ponad wspaniałą nizinę Bengalji, ku Bramaputrze, a dalej ponad krańcowemi górami Himalajów i długim szeregiem dzikich paszcz górskich, wyżyn i rzek Chin Środkowych, ku miastu Kai-Fung i następnie ku Pekinowi.

V. KALEJDOSKOP.

Nareszcie! Nareszcie!

Wprawdzie łóżko trochę za krótkie skrzypi przeraźliwie i pokoik malutki jest arcybrudny, ale wreszcie ciało leży swobodnie, płuca oddychają chłodnem powietrzem, nie mocując się z mroźnym wiatrem, a uszy z przyjemnością wsłuchują się w syczenie samowara.

Zmęczony i drzemiący umysł Maciusia zalewa potop chaotycznych wspomnień z ostatnich kilku dni.

Pod zmrużonemi powiekami tańczą i przemijają tysiące obrazów tak barwnych, dziwacznych i dzikich, jak dziwacznym, dzikim i barwnym był ten olbrzymi lot z Kalkuty do Nikołajewska, — ten wyścig rozpędzonych ptaków z ciągłemi zmianami krajobrazów, pogody i ludzi.

Prawie 6.000 km. drogi powietrznej przebyto w cztery dni, z czego jeden dzień minął w zupełności na oglądaniu Pekinu.

I oto w tych czterech dniach takie szalone zmiany warunków otoczenia, że ledwo się to w głowie mieści...

Cuda przyrody podzwrotnikowej i żaru słonecznego krainy „świętej rzeki" zdają się już mglistą bajką, oddzieloną od rzeczywistości potężną armją śnieżnobiałych szczytów i czarnych przepaści Himalajów wschodnich, srogich i niedostępnych gniazd Gambu i Dżary, poszczerbionych i dzikich murów gór Tsin-ling-szan i Fu nin-szan.

Jeszcze dotąd na wspomnienie tej olbrzymiej, 1.500 km. wynoszącej drogi mróz ściska serce wzruszeniem, w którem o lepsze walczą lęk z odwagą szaleńców. Ziejąca śmiercią niedostępna ziemia, najeżona potworami szczytów i popękana w bezdenne przepaście, żywa jeno rozłożonemi w kamiennej pustce lodowcami, oddechem swym pełnym zatracenia, we wspomnieniu dotąd jeszsze wciąga w swój wir, szalony pęd ptaków z ludźmi na grzbietach, ze swobodnego nieba urągających śmierci ziemi, wiercących dla siebie w zwałach chmur napastliwych, szydzących na rozpostartych olbrzymich skrzydłach z niedostępności dzikich grani, turni i przepaści, wyssanych pustką gdzieś aż do głębi ziemi.

Tak, to prawda, jeden nieostrożny ruch ręki, jeden zadławiony oddech motoru, a każdy z tych ptaków runąłby w wieczną niepamięć płaczu, za pokusę zwycięstwa nad przestworzami tych krain, swą i swych jeźdźców śmiercią.

Wie o tem ta ziemia, przez demonów chyba zamieszkana, i coraz wysyła przeciwko ptakom skłębione wiry powietrza, zawistne wciągania pustek nad przepaściami, potężne smagania wichrów, czyhających za każdym nowym, niebosiężnym murem gór ośnieżonych.

Ale wiedzą o tem i lotnicy. Skupieni do ostatnich granic przytomności umysłu i uwagi, ani na moment nie pozwalają rękom bezczynnie spoczywać na sterach. Coraz skrzydła ostrem

przechyleniem atak wiatru pod siebie zgarniają, zmuszając go do posłuszeństwa, — coraz szalone walką o zwycięstwo ptaki nagłym skokiem przesadzają pustkę, — coraz zajadłe śmigi przepruwają gąszcz powietrzny, tuż potem rozgłośnym turkotem krzycząc w przestworze, że niemasz przeszkód ani zasadzek na ziemi dla syna powietrza, niebieskiego pilota.

Linja tego przelotu, jak fala wzburzona, wichrzyła się po rozmaitych wysokościach, wreszcie, zaczęta od ziemi w Kalkucie, opadła zwycięsko na ziemię aż nad Hoang-Ho w Kai-Fung. Najwyższe jej wzniesienie, w środkowym przelocie koło gniazd Gambu (7.700 m. w.) i Dżary (7.800 m. w.), sięgały 8000 m. wysokości, przepływając przez tak rozrzedzone powietrze, że zdawało się lotnikom, iż krew wnet rozsadzi ich ciała, a rozsadzane płuca, nie mogąc oddychać, w strzępy się rozstrzelą.

Dwa te potężne wzniesienia były najniebezpieczniejszemi momentami lotu, na szczęście niezbyt długo trwającemi.

Tak, mróz jeszcze ściska serce Maćkowe na wspomnienie tego szaleńczego lotu, — ale wspomnienia tego nie oddałby za nic, takim bowiem przelotem niewielu lotników świata poszczycićby się mogło.

Przez cały ten przelot, trwający przeszło 7 godzin, Maciek ani razu nie wypuścił steru z ręki, nie dając się zastąpić Petti'emu, który, tak zresztą jak i mechanicy Ikara i Scotta, był wcale tęgim pilotem.

Dopiero na dwie godziny przed Kai-Fung, t. j. po 9 godzinach lotu, Petti objął ster, pozwalając Maćkowi odetchnąć i pokrzepić się jedzeniem.

A potem snuje się po głowie Maćka wspomnienie olbrzymiej, żółtej i zielonej naprzemian płaszczyzny, poprzerzynanej rzekami w niezmiernie głębokie szczeliny o prostopadłych ścianach, tworzące istny labirynt.

Trzy samoloty obniżają lot i z wysokości zaledwo 200 — 300 m. przelatują nad tą przedziwną, niby jednaką, a wciąż zmienną, z jakimś romantycznym nastrojem krainą lessu.

Tu pomiędzy kilkoma szczelinami, schodzącemi się z różnych stron, strzelają prostopadłe kolumny; tam dziwacznie poobrywana, wodą zmyta ziemia tworzy jakoby ruiny jakichś zamków; ówdzie głębokiemi na kilkaset stóp wąwozami prowadzą szerokie i wąskie gościńce; a pomiędzy tem wszystkiem górą ciągną się przepyszne zielone, uprawne pola. Nigdzie nie widać żadnych osiedli ludzkich, czy wsi, czy bodaj chat pojedyńczych. Ludzie bowiem tej krainy żyją w pieczarach, poziomo wykopanych w lessie.

A potem pamięta Maciek, jak z wydm piaszczystych nagle wyrósł Pekin, zdala złocąc się w słońcu żółtemi dachami pałacu cesarskiego.

Cały dzień oglądali to przedziwne „miasto miast“ Wschodu, leżące w bezgranicznym, smutnym stepie.

Jak dziwaczna fantazja, snują się w pamięci obrazy długich ulic, to pustych, to obstawionych nędznemi chatkami, to znów ni stąd ni zowąd błyszczących wytwornemi sklepami, obwieszonych tłumem jaskrawej, porywającej oczy reklamy.

Dokoła miasta potworne mury, z nawianemi od stepu górami piasku; w mieście też mury, dzielące gród na dwie części: tatarską i chińską; a wszystko pokryte pyłem i brudem niemożliwym do usunięcia. Pełno małych mostków, rzuconych przez brudne i cuchnące kanaliki; pełno szczątków i ruin dawnej świetności; ślady marmurowych ulic, dziś pełnych wybojów i błota; zniszczone świątynie i pagody, wewnątrz jeszcze bogate, ale zzewnątrz biedne i nędzne; bogate pałace, ukryte za grubemi murami; a wśród tego wszystkiego setki dorożek z nędznemi konikami, jakieś taczki pokryte budami, dwukolne wózki szybkonogich kulisów, szeregi dwugarbnych wielbłądów, tłumy leniwych posługaczy, czyhających na łatwy zarobek, i co pewien czas jaka lektyka lub krzesło na drążkach, z jakim rozpartym na brudnej i zniszczonej materji wyższym urzędnikiem.

Prawda, jest jeszcze wspaniała świątynia Nieba o potrójnym dachu; jest jeszcze „koncesja“ (dzielnica) europejska, pełna poselstw, ambasad i banków. Na kanałach dżonki, na ulicach pojazdy z najrozmaitszych epok, w świątyniach posągi kamienne, przed drzwiami do domów o poderwanych do góry dachach, prowadzącemi z ulicy wprost do mieszkań, małe murowane parawany, broniące przystępu złym duchom. Mieszanina cywilizacji i barbarzyństwa, wiary i zabobonu, bogactwa i nędzy, jaskrawości, pionowo zapisanych szyldów i reklam i beznadziejnej apatji— oto Pekin, półtoramiljonowa stolica Chin.

I dalej snują się obrazy w dziecięcym umyśle Maćkowym.

Znowu kraina stepu i lessu i niemęczący lot nad urodzajną Mandżurją wschodnią, ponad rozległemi polami pszenicy, gaolanu i soi.

Mały odpoczynek w A-szy-ho, dalszy lot nad doliną rzek Sungari i Amuru, wśród gór nadbrzeżnych od wschodu, a później Burejskich od zachodu, aż do twierdzy Nikołajewska, położonej nad ujściem Amuru do zatoki Tatarskiej.

Ten ostatni przelot, wynoszący 1300 km, a trwający około sześciu godzin, zaznaczył się przedewszystkiem zmianą klimatu.

Z A-szy-ho samoloty odleciały po dość ciepłym poranku i blisko godzinę trwającej ulewie. Tymczasem tuż po przelocie nad Amurem, po dwóch godzinach lotu, temperatura nagle obniżyła się i szybkiemi skokami tak poczęła opadać, że lotnicy musieli się okryć ciepłemi kurtkami, w które zaopatrzyli się w europejskiej dzielnicy w Pekinie.

Gdy pod zwrotnikiem lato żarzyło się w całej pełni, a w Chinach aż po Mandżurję wiosna chyliła się już ku końcowi, port Nikołajewski ściskały jeszcze zimne okowy niełatwo stąd odchodzącej zimy.

Miasto małe, dzikie, jako port nic prawie nie znaczące, nie miało zbyt wiele osobliwości do pokazania.

To też lotnicy, zamieszkawszy w małym budynku rządowym, brudnym i ciasnym, odrazu jęli się prac przygotowawczych do dalszego lotu.

Prace te polegały przedewszystkiem na zaopatrzeniu aparatów, a właściwie ich motorów i rezerwuarów z benzyną, w ochraniacze przed mrozem, oraz na przedzierzgnięciu się podróżników nad ciepłemi krajami w wędrowców krain wiecznego mrozu i śniegu.

Tu dopiero Maciek dowiedział się, że dalszy ich lot niedokładnie przedstawiał się w ten sposób, jak go w Kairze opisywał pan Jaksa Bączalski.

Dalsze bowiem etapy podróży nie prowadziły z Nikołajewska ponad Kamczatkę, do St. Michael na półwyspie Alaska, która to droga wynosiłaby prawie 3500 km, — ale po przelocie nad morzem Ochockiem do Ochocka lotnicy mieli z tego portu poszybować ponad górami Stanowemi aż na półwysep Czukczów, gdzie przygotowana dla nich była ostatnia w Azji stacja odpoczynkowa i zaopatrzenia. Droga ta z Nikołajewska do Ochocka wynosiła 800 km, stamtąd zaś do półwyspu Czukczów niecałe 2000 km.

Z półwyspu Czukczów dalszy ciąg lotu miał się już odbyć według planu podanego przez pana Jaksę.

Zmiana ta była korzystną dla lotu, pozwalała bowiem na zaopatrzenie się w benzynę w Ochocku; nadto droga w ten sposób wymijała lodowiska morza Beringa, które w razie jakiego zepsucia się jednego z aparatów mogłyby stać się, szczególniej o tej porze, grobem dla niego.

Były to już jednak zdania, których umysł Maćka nie zdążył dokładnie przemyśleć, zapadł bowiem w kamienny sen, pełen bladych wizyj z przebytych wrażeń.

Na tym śnie długa noc tutejszych okolic przeminęła Maćkowi bardzo szybko, i niebardzo czuł się jeszcze wypoczętym, gdy przyszło już wstawać.

Pobyt w Nikołajewsku trwał cały tydzień.

Wszystkie dnie od rana do wieczora zapełnione były pracami około aparatów, oraz próbnemi lotami nad zamarzniętem jeszcze, skutkiem zimnego prądu od północy, morzem Ochockiem. Chodziło przecież o wyćwiczenie się w osiadaniu na lodzie i śniegu, — czyli o wprawne manewrowanie łyżwami podwozia aparatów, wysuwającemi się za pociśnięciem odpowiedniej dźwigni pod koła.

Raz zapuszczono się i dalej ku wschodowi, gdzie wolne już od lodów morze pozwoliło na wypróbowanie również wysuwalnych od zewnątrz kół podwozia łodzi, zmieniających samoloty w wodnopłatowce.

Do prób tych Maciek przystępował z drżeniem, dotychczas bowiem nigdy nie miał do czynienia ani z wodnopłatowcami, ani z osiadaniem na śniegu, czy na lodzie.

Z operowaniem przyrządami przenośnemi, czyli zmieniającemi podwozie na łyżwy, koła lub łódki, obznajomił Maćka gruntownie Petti, okazując przytem istotnie gruntowną wiedzę i praktykę mechanika.

Po tych naukach próby lotów ze zmiennem osiadaniem Maciek przebył znakomicie, zdobywając sobie raz jeszcze uznanie Montcornet'a i Duglas'a, oddawna posiadających i tę umiejętność lotniczą.

Motory wszystkich trzech samolotów, wytworzone z mieszaniny metalów nie ulegającej zmianie temperatur ani wpływom atmosferycznym, otrzymały jednak ochraniacze przed mrozem, — co szczególniej rezerwuarom z benzyną było bardzo potrzebne.

Krótkie dnie, wypełnione pracą przygotowawczą, mijały szybko.

Ale i długie wieczory nie przechodziły towarzyszom bez pożytku.

Oto kapitan Montcornet, który brał udział kilkakrotnie w wyprawach podbiegunowych, ciekawemi wykładami pouczał zebra-

nych w ciepłym pokoju towarzyszy o sposobie zachowywania się w tych krainach śniegu i lodu, o sposobach obliczań położenia geograficznego i łatwych, choć nieco prymitywnych, sposobach obserwacji zjawisk przyrody.

Następowała przecież najtrudniejsza część podróży, ponad krainami niezbadanemi, pełnemi niespodzianek atmosferycznych, w których mogło czyhać na każdy samolot zosobna i wszystkie razem sto nieoczekiwanych wydarzeń.

Cóż łatwiejszego, jak pobłądzić w mgłach, w których na kilka metrów już nic rozeznać nie można.

Wędrowne lody każdy osiadły na nich samolot mogły ponieść w nieprzewidziane strony. Szalone burze i cyklony podbiegunowe były też nie lada przeszkodą.

„Pochyleni nad stołem" (str. 66).

Leciały wprawdzie razem trzy ptaki, obsadzone siedmioma ludźmi. Ale każdy samolot zosobna i każdy człowiek zosobna powinien być przygotowanym na odcięcie od towarzyszy i na własną zaradność.

Pochyleni nad stołem słuchacze śledzili bacznie mapy krain przez Francuza opisywanych, każde słowo jego wbijając sobie głęboko w pamięć.

Nauczył ich obchodzenia się z sekstansami i przyrządami do obliczeń położenia geograficznego. Obznajomił z właściwościami zachowywania się igły magnetycznej wpobliżu bieguna. A wreszcie wraz z nimi poumieszczał w kabinach samolotów i na tablicach przed siedzeniami pilotów potrzebne do dalszego lotu przyrządy, mapy, broń palną, małe bomby i granaty ręczne, małe

harpuny, sztylety i noże, wreszcie aparaty fotograficzne i reflektory świetlne.

Prócz tego każdy aparat dostał w kadłubie umieszczoną pełną śpiżarkę prowjantów, wśród których tłuszcze i suchary grały główną rolę.

Ósmego dnia, o szarym, bezwietrznym świcie, zapowiadającym pogodny dzień wiosenny, trzy samoloty, żegnane dość serdecznie przez tłum „inorodców“ o wybitnie mongolskich rysach,— opuściły Nikołajewsk, wzbijając się skosem wprost ku północy, ku leżącemu z drugiej strony zatoki morza Ochockowi.

Około południa, po jednostajnym locie nad morzem, wylądowano na zamarzniętem do głębi, tymczasowem, na nadmorskiej tundrze lotnisku tego portu u ujścia rzeki Aldan.

Ze względu na krótkość dni w tej okolicy o tej porze, a długość następnej drogi, wynoszącą prawie 2000 km., czyli biły h 8 godzin lotu, zanocowano w Ochocku i ruszono nazajutrz znowu o szarym, pogodnym świcie.

W chwili wylotu temperatura wynosiła 15° mrozu.

Aparaty prowadzone przez Ikara, wzniósłszy się pod szare niebo, rozgłośnie grając w mrozie motorami, poszybowały wzdłuż wygiętego lekkim łukiem wybrzeża i dalej wzdłuż grzbietu gór Stanowych, rysujących się białem pasmem na północy.

Otuleni w ciepłe futra reniferowe, lotnicy z ciekawością spozierali przez okienka na krainę, niby bezludną i jednostajnie białą, a jednak tak pełną cieni i widm, załamań się światła i dziwnych bladych kolorów.

W m łych kabinach, mieszczących pilotów i mechaników, zamkniętych szczelnemi ściankami i okienkami z przezroczystej miki podwójnej (szkło pęka na wysokim mrozie), można już było od biedy rozmawiać, muzyka bowiem motorów nie dochodziła już tu z całą mocą.

To też Maciek, wyrównawszy lot, zwrócił się do Bartka, zakopanego aż po dziurki w nosie w stosie futer.

— Patrz, Bartek, tam daleko na południowym wschodzie, poza tą sino-białą linją horyzontu, leży półwysep Kamczatka.

— Ta sama Kamczatka, co to naszych powstańców tam wysyłano? — zapytał Bartek.

— Tak. To najdalszy kraniec Sybiru. Ale ojcowie nasi od gór Uralskich aż po tę daleką ziemię, wszędzie przebywali, wszędzie znaczyli krwią i mogiłami swój żywot męczeński.

— Aż straszno lecieć nad tą ziemią przeklętą!—wzdrygnął się Maciek.

— Szczególniej nam, Polakom — dodał Maciek.

Jakby dla wyrwania się z tych niezbyt miłych a dalekich wspomnień, pamiętając zresztą i swoje własne przejścia pod bolszewikami, Bartek wysunął się z kąta i wraz z Pettim począł się krzątać koło przygotowania posiłku.

Po pięciu godzinach lotu, wymijając zatokę Penszyna i trzon półwyspu Kamczatki, aparaty zadarły swe dzioby do góry, wspinając się ponad wysoką i rozległą krainę północnego grzbietu Stanowego, rozrastającego się tu aż do brzegów morza Beringa.

Po czterech godzinach dalszego lotu w coraz bardziej szarem powietrzu, samoloty, przeleciawszy przez opadający grzbiet gór, poszybowały ponad półwysep Czukocki.

Od dołu wiała bezludna biała pustka, zapadająca zwolna w czającą się długą i mroźną noc.

Wtem na dalekiej północy przez coraz gęstszy zmrok zakwitły czerwone, prawie krwawe płomienie.

To stosy ostatniej stacji magazynowej na tej ziemi sygnalizowały płomieniami zbliżającym się lotnikom, gdzie mają osiąść.

Około trzeciej po południu, a właściwie wieczorem, siedmiu lotników siedziało już w chacie ze śniegu i popijając gorącą herbatę, opowiadało swoje przygody oczekującym ich tu przyjaciołom.

A pod ścianami chaty, na ławie ze śniegu, pokrytej skórą reniferów, siedziało kilkanaście postaci Czukczów, zaszytych

w futra, wpatrując się we wszystkich przybyszów po kolei mądremi skośnemi oczyma.

Najdłużej, naturalnie, zatrzymywał ich wzrok na sobie mały chłopak, przez wszystkich traktowany ze szczególnem uznaniem i uczuciem.

VI. NA KRAŃCU AZJI.

Gdyby nie tych dwadzieścia całych dni wyczekiwania na jaką-taką pogodę, to losy Maciusia byłyby się na pewno potoczyły innemi kolejami. Ale jeśli już na kogo czeka przygoda, to jej się z pewnością nie wywinie, chociażby miała czekać i przez dwadzieścia dni.

Widać już takie było przeznaczenie Maćka, że wciąż inna przygoda go oczekiwała.

Przez całych dni dwadzieścia obóz ostatniego w Azji lotniska smagany był wściekłemi „buranami“ (burze śnieżne), bity huraganami mroźnego wichru, zasypywany chmurami startego na pył śniegu.

Przez całych dni dwadzieścia wszyscy lotnicy i cała załoga stacji, pod mądrem przewodnictwem Czukczów, broniła się tylko przed zasypaniem w śniegu i siebie i aparatów.

Żywności było poddostatkiem, w chacie utrzymywało się nawet jakie-takie ciepło; cóż z tego, gdy ze wszystkich stron nieba waliły się poprostu całe góry śniegu, otaczając obozowisko fantastycznemi murami wydm.

Dzień i noc naprzemian musiano śnieg odgartywać z przed wyjścia chaty, — dzień i noc pracowano nad utrzymaniem korytarzy do aparatów, ukrytych w dziwnych halach, których ściany były ze śniegu, a dach, oparty na długich belkach, z płócien namiotów.

Przez cały ten czas ani mowy nie mogło być o odlocie z niegościnnej krainy.

Maciek pracował wraz z innymi, w chwilach jednak odpoczynku siadał nad mapami i wpadał w taką zadumę, że trudno go było obudzić.

Nikt nie wiedział, nad czem on tak rozmyśla, nikomu nie zwierzał się, poco cyrklami przemierza mapy swoje we wszystkich kierunkach.

Może to właśnie poto burza szalała przez dwadzieścia dni nad ich obozowiskiem, żeby się mógł w głowie Maćka zrodzić jakiś pomysł i dojrzeć? żeby przygoda nań nadarmo nie czekała?

Wreszcie z dziewiętnastej na dwudziestą noc burza nagle uciszyła się i odeszła, jak przyszła, niskiemi, białemi, gęstemi tumanami chmur.

Nad zamarzniętym docna światem, przy 45° mrozu, zaległa głucha, cicha noc.

Długą walką z przyrodą wymęczeni ludzie obsiedli wreszcie całą gromadą ognisko i rozgrzewając się herbatą, poczęli wesoło budować plany na najbliższy czas, mając nadzieję, że już chyba jaka-taka pogoda nastanie.

Postanowiono przez cały jeszcze dzień następny czekać i przygotować wszystko do odlotu, a przedewszystkiem wyprowadzić aparaty na śnieg płaski. Dwudziestego pierwszego zaś dnia pobytu na półwyspie (40-ego od wylotu z Kairu) lotnicy mieli podnieść skrzydła.

Stacja lotniska miała przez cały tydzień oczekiwać na możliwy powrót (w razie nieszczęścia) którego z aparatów, a potem miała się zwinąć i na saniach odjechać na południe.

Cały dość duży zapas benzyny rozdano pomiędzy samoloty. Otrzymana porcja powinnaby wystarczać każdemu z aparatów na jakieś 4.000 km. drogi. Były to zapasy olbrzymie. Rezerwuary z benzyną zajmowały bardzo wiele miejsca w kadłubach aparatów, a ich ciężar miał znacznie wpływać na szybkość lotu.

Ze względu jednak na możliwe przypadki, zaopatrzenie się w taką ilość benzyny było konieczne.

W pewnej chwili zebrani poczęli się pojedyńczo układać na spoczynek.

Wtem w długim i głębokim korytarzu, prowadzącym do wyjścia, zadzwoniły i zaskrzypiały czyjeś kroki, i do niskiej izby wpadł Maciek, którego nieobecności już od dłuższego czasu nikt nie zauważył.

Twarz Maćka, wyszczypana mrozem, promieniała, a oczy gorzały jakiemś przedziwnem wzruszeniem.

— Zorza polarna! — krzyknął, ledwo wpadłszy do izby.

Po tym wykrzyku zakręcił się na pięcie i nie zważając, czy kto za nim pójdzie, wybiegł zpowrotem.

Wślad za nim, naturalnie, wybiegli wszyscy.

Przed wydrążoną w śniegu chatą przedstawił się tak czarujący i potężny widok, że oniemieli z zachwytu,

Oto olbrzymi odcinek horyzontu jakby płonął oślepiającemi białemi blaskami. Blaski te, wydłużone w promieniste języki, poczęły zwolna przechodzić w kolor krwawo-czerwony, końcami swych promienistych mieczów posuwając się z szaloną szybkością ku zenitowi.

Nagle kłąb ich, dosięgnąwszy szczytu nieba, jakby się rozpękł, ciskając w różne strony snopy promieni.

Krew płomieni, zalewających sklepienie niebios, poczęła się teraz zmieniać, stając się to pomarańczową, to niebieską, to fioletową, to znowu żółtą.

I znów całe to morze światła, przeszedłszy w szczere złoto, rozprysło się w miljard światełek, które, jak przedziwne latarnie jakichś sygnałów z innego świata dawanych, poczęły się unosić i krążyć po całej przestrzeni, aż wkońcu istnym potopem iskier spadły na ziemię.

A ziemia, oczarowana przez cały czas tego zjawiska, jakby się stała zwierciadłem, odbijającem przez mgłę cudowną grę pro-

mieni i świateł i kolorów. Daleki śnieżny horyzont płonął wciąż zmiennym ogniem zorzy, a dookólne płaszczyzny i wydmy śnież-

„...olbrzymi odcinek horyzontu jakby płonął..." (str. 71).

ne, jak rozfalowane morze, to się zapalały, to gasły istną burzą barw.

Niezwykłe to zjawisko trwało, niestety, krótko i zgasło wnet bez śladu, jakby zabite potężnym, sięgającym 50° mrozem i nocą rozległą i głuchą.

Powrócili ludzie do chaty i ciągle pod wrażeniem czaru zjawiska, które oglądać mieli szczęście, ledwo ośmielając się szeptać, poukładali się do snu.

Dzień dwudziesty przeminął wśród pracy nad wydobyciem aparatów na płaszczyznę dobrą do odlotu.

Wszyscy wesoło i gwarno pracowali, srebrnym śmiechem coraz strzelając w ścięte mrozem, jakby szklane powietrze.

Śmiał się i Maciek z wszystkimi i może ze wszystkich najgłośniej, ale ktoby się wsłuchał w jego śmiech, tenby wyczuł w nim jakąś dziwną nutę.

„Masz moją rękę..." (str. 74).

Około południa Maciek wymknął się z koła pracujących i odwoławszy na bok Petti'ego, zamknął się z nim w chacie.

Zniknięcia ich nikt nie zauważył, aparaty bowiem stały już na wolnej płaszczyźnie, a rąk do wyrównania przed niemi śniegu było aż nadto.

Usiadłszy przy ogniu, Maciek po krótkim namyśle począł o czemś prawić Petti'emu.

Po wysłuchaniu pierwszych zdań mechanik przetarł oczy, jakby nie chciał wierzyć, że Maciek naprawdę siedzi przed nim i coś opowiada.

Ale Maciek siedział nawrawdę i niewiele sobie robiąc ze zdumienia Petti'ego, ciągnął przyciszonym głosem rzecz dalej.

Petti już nie tarł oczu, jeno przechylił się, ucho ręką jak trąbką osłonił i słuchał w skupieniu.

Potem zerwał się na równe nogi i wyciągając dłoń do Maćka, krzyknął radośnie:

— Masz moją rękę, szalony chłopcze! Z tobą na śmierć i na życie! Podoba mi się twój plan niesłychanie. Ale pokaż mi na mapie, czyś się nie pomylił i czyś dobrze obliczył.

Teraz już obaj pochylili się nad mapami i długo, długo coś obliczali i nad czemś tajemniczo radzili.

Gdy powstali z miejsc, Maciek położył wskazujący palec na ustach i przemówił:

— Ale, Petti, mój jedyny, nikomu o tem ani słówka!

— Rozumie się, kapitanie.

— Nawet Bartkowi.

— Temu to najmniej. Na pewnoby wszystko wypaplał jako swój pomysł.

— Dowie się we właściwym czasie.

— W powietrzu.

Petti wyszedł na pole, a Maciek, wydobywszy swój kajecik i ołówek, zasiadł przy ognisku i ściągnąwszy rękawicę z ręki, począł pisać jakieś listy.

Po pół godzinie, gdy zaadresowane i złożone w czworo listy spoczęły w kieszeni Maćka, poczęli do chaty napływać towarzysze.

Nastąpił ostatni wspólny wieczór.

Przy gorącej wieczerzy, ugotowanej na tłustem mięsiwie, zarzuconem kaszą, wesoło ten i ów pogadywał, wszyscy jednak czuli jakiś smutek w głębi duszy.

Może przez te trzy tygodnie tak się zżyli ze sobą, że żal im teraz było rozstawać się, lub może przez grube ściany chaty aż tutaj, do ich ogniska, przypełzła nieskończona tęsknota i smutek tych krain.

Jeden z Czukczów, uchodzący za szamana (kapłana), otoczony gromadą swoich, począł opowiadać łamanym językiem rosyjskim jakąś cudowną legendę o widmach, cieniach i duchach tej dziwnej, bezludnej ziemi.

„Jeden z Czukczów ...począł opowiadać..."

Wśród słuchaczy zasiedli i Maciek z Bartkiem, chętnie słuchający wszelkich baśni i legend. A przy środkowem ognisku reszta towarzyszy, nie chcąc dopuścić do siebie smutku, pośpiewując zabawiała się w dziecinne gry, z których najbardziej rozruszał ich „łupień".

Zabawa ta, polegająca na odgadywaniu, kto komu klapsa wyciął, zgromadziła wreszcie wszystkich dokoła „ofiary“ o zasłoniętych oczach i trwała wśród śmiechów i wesela aż do ułożenia się na spoczynek.

Rankiem, o szarym zmierzchu, gdy jeszcze ze dwie godziny brakowało do wschodu słońca, wszyscy już byli na nogach.

Po gorącem, sutem śniadaniu nastąpiło ostatnie pożegnanie, pełne serdecznego wzruszenia, któremu ulegli wszyscy, nawet Czukczowie i ich gadatliwy szaman.

W tym to czasie Maciek chyłkiem wybiegł z chaty, a podbiegłszy do Ikara, stojącego na czele eskadry trzech samolotów, oglądnął się, czy go kto nie śledzi, i niepostrzeżenie wdrapał się do kabiny.

Gdy po krótkiej chwili wymknął się zpowrotem z kabiny, na twarzy jego znać było głębokie wzruszenie, jakby w tej pustej jeszcze kabinie Ikara zapadła jakaś ostateczna decyzja, jakby się stało coś, czego już nie można było odwołać.

To „coś“ jednak musiało być dobre, bo oczy Maćka świeciły jasną pogodą, a usta uśmiechały się dziwnie miło i ujmująco.

Gdy wrócił do chaty, już wszyscy wkładali futrzane czapy i takież rękawiczki.

W kwadrans później w zamrożone powietrze wpadł triumfalny hymn, łomot i przeciągły, jakby nosowy głos o trzech tonach, grany płucami trzech samolotów.

Zaskrzypiały przymarzłe do sypkiego śniegu łyżwy, drgnęły zmarznięte ptaki i sztywnemi skrzydłami wparły się w szkło zamrożonego powietrza.

Z kilkunastu piersi od dołu huknął ostatni okrzyk pożegnania na daleką drogę, — i oto najpierw Ikar, potem Scott, a za nimi nieco ztyłu Mewa poszybowały w powietrze, niosąc ze sobą ponad lodowemi morzami i wykutemi ze śniegu i lodów górami wieść o zwycięskim człowieku.

Wieść o człowieku, który na skrzydłach potężnego ptaka, przez siebie stworzonego, przekracza granice krain bezludnych, okiem twórczem wpatrując się w tajemnicze i dotychczas niezbadane połacie ziemi, mózgiem chcąc się dowiedzieć prawdy o całym globie, sercem chcąc wyczuć puls nietylko ziemi, ale i otaczającego ją nieba.

VII. ZAKRWAWIONA CHUSTA.

Jak okiem sięgnąć, jedno wielkie, nieprzebrane, kłębiące się morze mgły.

Głucho łopoce motor, jakby głos jego wsiąkał w bezdeń białych tumanów, jakby śruba, wściekłym wirem drążąca drogę dla Mewy, miast siekać, krajać i rozrzucać napastliwą, przemienioną w szarość nieprzenikliwą przestrzeń, motała dokoła swej osi ocean wciąż obecnej i wciąż uciekającej mgły, osiewającej się po skrzydłach i bokach aparatu.

Ale wewnątrz kabiny ani twarz Maćka, oczyma, nosem i ustami widzialna z futra czapy, ani podobnie odkryta twarz Petti'ego nie zdradzają zalęknienia.

Bartek, skulony wkłąb w kącie kajuty, razem z nosem zanurzony w futrach, drzemie jeszcze po sutem gorącem śniadaniu, ani przypuszczając, co się to dzieje.

Ta mgła, a właściwie to morze mgły, spadło nagle, w kwadrans od wzbicia się aparatów w przestworze.

W jednej chwili trzy ptaki zostały rozdzielone nieprzeniknioną wzrokiem zaporą i zdane na własne kierownictwo.

Kierunek lotu wykreślony był na południowy wschód, ponad cieśniną Beringa, ku St. Michael na Alasce, — długość zaś lotu wynosiła około 600 km.

Przy dobrych mapach i przy pogodzie bezwietrznej, mimo nawet mgły, trudno było zbłądzić.

Coprawda, opadnięcie mgły nie było wcale pożądane, jednakże Maciek, ledwo przez okienko zauważył, że o kilkaset metrów przed nim lecący Scott znika mu z oczu, aż podskoczył z radości na swem siedzeniu.

— Petti, mgła! — krzyknął do siedzącego tuż obok mechanika.

— A mgła — potwierdził Włoch, przylepiając twarz do szybki z miki.

— Los nam sprzyja. Teraz już wierzę, że nam się uda i że samo przeznaczenie chce tego.

— A więc? — zapytał Petti.

— Skręcam za przeznaczeniem.

Przechylił się Maciek razem z dźwignią sterową w lewo, i Mewa poczęła zataczać długi łuk, wyciągając dziób ku północy.

— O Boże! daj, byśmy szczęśliwie dokonali swego zamiaru! — westchnął Maciek nagłos.

— A teraz gazu! — dopowiedział Petti.

Maciek przesunął rączkę, i Mewa, szarpnięta silniejszym oddechem, wyprostowawszy w mgle swe skrzydła do poziomu, poczęła z sił całych rwać wprost ku północy, przeszło o 130° zmieniając swój dotychczasowy kierunek.

— W takiej mgle na pewno nie zauważą naszego zniknięcia.

— Za trzy godziny Montcornet dowie się o niem.

— To będzie dopiero w St. Michael.

— W czasie drugiego śniadania.

— Nie rozumiem, Maćku, co z tem ma wspólnego drugie śniadanie.

— Bo w przygotowanej porcji zostawiłem list, który mu wpadnie w rękę zaraz po otworzeniu puszki.

— Zostawiłeś list?

— Tak. Jeden do niego, a drugi na wszelki wypadek do ojca.

— Cóżeś mu napisał?

— Musiałem go przecież przeprosić za to, że samowolnie i bez jego zgody zmieniłem kierunek lotu Mewy.

— Będzie zły.

— Myślę, że będzie przedewszystkiem niespokojny o nas.

— Ma się rozumieć. Ale pokusa była zbyt wielka.

— Pomyśl tylko, Petti, że jeśli nam się uda, to dokonamy tego, czego dotychczas nikt jeszcze nie dokonał. A wobec tego celu cóż znaczy moje nieposłuszeństwo!

— Tem bardziej, kapitanie, że i Montcornet i Duglas też rozmyślali i marzyli o tem, żeby cały lot tak zmienił kierunek.

— A ty skąd wiesz o tem?

— Rozmawiali raz przy mnie w tej materji.

— Patrzcie! A dlaczego się nie zdecydowali?

— Obliczyli, że byłoby to zbyt ryzykowne, a przytem najbardziej bali się o twoją wytrzymałość, kapitanie.

— To mię ogromnie martwi.

— Dlaczego?

— Bo tem więcej będą o mnie niespokojni.

— To prawda. Ale patrz, kapitanie, że ja jestem z tobą i nie boję się. Mnie przekonały twoje wyliczenia, a przedewszystkiem wiem o tem, że ty, mimo swego chłopięcego wieku, jesteś z nas bodaj najbardziej zahartowany.

— Jakto?

— Ty jesteś synem Północy, synem kraju, w którem ani mróz, ani śnieg nie dziwi. A my jesteśmy dziećmi Południa. Przytem ja wierzę w twoją szczęśliwą gwiazdę, kapitanie.

— Zatem głowa do góry, Petti, i jazda do naszego celu!

Rozumiała ten okrzyk Mewa, bo z sił całych rwała przed siebie, unosząc w swojem wnętrzu dwóch poszukiwaczy przygód i jednego śpiącego kaprala.

Po trzech godzinach lotu Petti zastąpił Maćka przy sterze.

Maciek uderzył kilka razy o ramiona zgrabiałemi z zimna mimo rękawic rękoma i przechyliwszy się nad mapą arktyczną, począł obliczać położenie samolotu.

Szybkość aparatu wynosiła 200 km. na godzinę. Odliczywszy pół godziny, straconej na lot ku południowemu wschodowi i zatoczenie łuku, Maciek po chwili obliczania oznajmił, że znajdują się pod 73° szerokości północnej, na 170 południku, prowadzącym ich wprost nad biegun.

— Hej! Ten biegun! Ten zaczarowany biegun!—wykrzyknął Petti.

Na to magiczne słowo poruszył się nagle kłąb futer kryjący Bartka i szanowny kapral, jak włochata kula, wytoczył się na dwa obroty przed siebie.

Z pod olbrzymiej czapy zaświeciły małe oczki, a usta rozwarły się w zdumieniu.

— Co za biegun? — zapytał, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Północny — objaśnił spokojnie Petti.

— Maćku, co ten wiercikorba bredzi?

— Nic, kapralu, on nie bredzi.

I Maciek opowiedział mu dokładnie, o co chodzi.

Oto Maciek z Pettim, obliczywszy swe siły i siły Mewy wraz z zapasami benzyny i oliwy, powzięli w pamiętnym 19-tym dniu pobytu na półwyspie Czukczów plan bezpośredniego przelotu nad biegunem ku Grenlandji, a potem do Islandji i Szkocji.

Przelot ten skracał prawie trzykrotnie drogę planowaną przez Montcornet'a i Duglas'a, ale przedewszystkiem prowadził ponad biegunem, którego dotychczas żadne oko ludzkie nie oglądało, i ponad olbrzymią białą plamą, widoczną na mapie i oznaczającą krainę, żadną stopą ludzką dotychczas nietkniętą.

Długo i szeroko tłumaczył Maciek Bartkowi, skąd taki plan powstał w jego głowie, bo sądził, że Bartek, pominięty w naradach, będzie protestował, uważając to za wielką dla siebie krzywdę, że nie proszono go ani o radę, ani o zgodę.

— Myślałem, Bartku, że my obaj tak jednego, tego samego chcemy, iż nie weźmiesz mi za złe, żem cię o radę nie

pytał. A przytem bałem się, abyś czego przed tamtymi nie wypaplał, bo toby nam popsuło szyki.

Przez cały czas tej przemowy Maćka Bartek nie odezwał się ani słowem, mieniąc się tylko na twarzy i coraz ciskając z oczu jakieś dziwne promienie.

Maciek, widząc te zmiany na twarzy kaprala, zrozumiał nagle, jak dalece nie miał prawa dysponować nim i bez jego woli i wiedzy zabierać go z sobą w tę podróż.

Nie wiedząc jeszcze, co mu teraz czynić wypada, chłopak poczuł coraz bardziej wzbierające w piersi wyrzuty sumienia. Mimowiednie zbliżył się tedy do Bartka i błagalnie spojrzał w jego oczy.

— Bartku, przebacz!...

Ale nim skończył, poczuł się nagle objętym wpół i tak silnie ściśniętym, że mu aż tchu w piersiach zabrakło.

— Królu złoty! — ryknął Bartek, przezwyciężając wreszcie swe zdumienie. — Smarkaczu najserdeczniejszy! A to z ciebie łasun na przygody!!

I postawił Maćka naprzeciw siebie i począł mu się pilnie przypatrywać.

— Bo widzisz, Bartku...

A Bartek wziął się pod boki i oznajmił głosem tak poważnym, jakby co najmniej zjadł cztery świece:

— Widzę, chłopcze, że mi naprawdę wstydu nie zrobisz za to, żem w Kairze przeprowadził plan twojego lotu.

— Jakto, Bartku? Przecież to pan Jaksa...

— Furda pan Jaksa! Gdyby nie ja, to te cudzoziemce na pewnoby cię nie wzięły.

— A więc się nie gniewasz, Bartku? — spytał Maciek, nie chcąc drażnić kaprala.

— Nietylko się nie gniewam, ale dumny jestem z ciebie, żem wreszcie nauczył cię myśleć.

Teraz Maciek zkolei się zdumiał.

— A bo widzisz, pułkowniku, ten plan lotu nad biegunem świtał i w mojej głowie, tylko się trochę bałem, żebyśmy Mewą o oś nie zaczepili.

— O jaką oś, Bartku?

— Rozumie się, że o oś świata. Ale myślę, że warto coś zaryzykować, jeśli my pierwsi mamy odkryć ten biegun.

Odetchnął więc Maciek z ulgą, że i Bartek z chęcią odbywa podróż.

Zachowanie się Bartka było istotnie bardzo dziwne i piękne.

Jego zdrowy, prosty rozum, lubiący fantazjować, a w czasie wojny przywykły do szukania bohaterskich wydarzeń, tłumaczył mu teraz, że naprawdę dzieje się jakaś wielka sprawa.

Przez dwie dalsze godziny monotonnego lotu w morzu mgły Maciek objaśnił mu z mapy, co to jest biegun i co to są kraje arktyczne.

Dzielny chłopak obdarzony był doskonałą pamięcią i przypominał sobie teraz opisy podróży do bieguna, o którego zdobycie tylu sławnych podróżników już się kusiło, a który dotychczas samotny i nieznany leży w białej pustce lodowej.

Samolot łomotał swą monotonną pieśń, przez szybki z miki wdzierało się szaro-białe światło nieprzejrzanego morza mgły, trzech otulonych w futra i w kabinie szczelnie zamkiętych jeźdźców ogarniał nastrój tej nieogarniętej, nieznanej, tajemniczej atmosfery, którą jeszcze żadna pierś ludzka nie oddychała.

Serca ich, z zaczajonem na samem dnie jakby zalęknieniem, biły silnie, — a chociaż wszyscy trzej uśmiechali się, znać po nich było, że siłą woli opanowują wzruszenie.

Jakby chcąc okłamać i przełamać tę przeraźliwie milczącą pustkę, przebijaną przez śmigę, samolot łomotał z całej siły, a wewnątrz w kabinie sypały się głośne słowa Maćka o nieszczęśliwej wyprawie balonem do bieguna Andree'go, bohaterskich wyprawach Peary'ego, Nansena i Amundsena, o ich zmaganiach się z przeszkodami tak strasznemi, że Maciek pamięta do dziś,

jak przy czytaniu opisów tych wypraw włosy mu na głowie stawały, a serce z trwogi bić przestawało.

— Całemi latami wlekli się po tych pustkach lodowych, niepewni jednego dnia, ani jednej godziny — opowiadał Maciek zasłuchanemu przy sterze Petti'emu i zagapionemu weń Bartkowi.

Petti wprawdzie niebardzo rozumiał, co Maciek po polsku opowiada, wystarczał mu jednak sam głos chłopaka. Zato Bartek poprostu połykał słowa Maćka.

— Okowy lodów miażdżyły ich okręty, zmuszając ich nieraz do podróży sankami zaprzężonemi w psy, do podróży liczących setki kilometrów. Mróz ścinał ich ciała, głód odbierał resztki sił, że nieraz psami i uprzężą żywić się musieli, — zaskakiwały ich wśród nieprzystępnych gór lodowych, spiętrzonych ze wszystkich stron, pełnych przepaści i ostrych załamań, długie jak wieczność noce zim podbiegunowych. A oni mimo wszystko ciągnęli w te strony, aby dla nauki ponieść ofiarną może śmierć, wzamian za zdobycie skrawka bodaj tej ziemi i jej tajemnicy.

— Ładnie się dostajemy! — przerwał w pewnej chwili Bartek, kiwając głową ze zdumienia.

— O, Bartku! Na Mewie nie jesteśmy narażeni ani na setną część takich przygód.

— A to dlaczego, pułkowniku?

— Bo oni musieli po ziemi lub po morzu przeważnie zamarzłem odbywać wyprawy, tracąc nieraz godziny całe na zdobycie jednego kilometra drogi. Tymczasem my, z szybkością 200 km na godzinę, lecimy ponad temi niemożliwemi do przebycia zwałami lodów, przepaściami i szczelinami, kanałami o ścianach pionowych lub pustkami śnieżnemi.

— Eh, ta Mewa!

— Tak, tak, ta Mewa! Te samoloty! To naprawdę triumf największy człowieka, jego zwycięstwo nad powietrzem, a przez to i nad całą kulą ziemską!

Po tych słowach Maciek podszedł do okienka, aby sprawdzić stopień mrozu na termometrze, wiszącym poza szybą nazewnątrz samolotu.

Przed trzema godzinami, w czasie największej mgły, termometr pokazywał 30°, teraz kreska rtęci pokazywała 49°, ale Maciek zauważył, że mgła rozrzedziła się znacznie.

— Zaraz, Petti, zajmę twe miejsce, tylko sprawdzę, gdzie teraz jesteśmy.

Z obliczeń wypadło, że mijają już 81° równoleżnika, a była to już 8-ma godzina lotu.

Teraz zkolei Maciek zajął miejsce przy sterze, a Petti i Bartek przystąpili do przygotowania obiadu, którego głównem daniem miał być buljon, ugotowany na prymusie.

Baczną rękę trzymając na sterze, Maciek wpatrzył się w okienko w podłodze pod dźwignią, w szybkomierze i wysokomierze, a zamilknąwszy na długo, w skupieniu rozmyślał nad sytuacją.

Wysokomierz wskazywał 400 m, szybkomierz zaś niezmiennie 200 km. na godzinę.

Z mapy wynikało, że Mewa wpływa właśnie nad granice tak zwanego hipotetycznego lądu Harrisa, czyli ziemię Crockera, która dotychczas istniała tylko w przypuszczeniu badaczy.

Wietrząc zasadzkę zwałów lodowisk pod nogami, ze względu na mgłę, która mimo rozrzedzenia niczego jeszcze na dole zobaczyć nie pozwalała, Maciek zdecydował się lecieć dalej, jak się da, jak motor pozwoli.

W tym nastroju rozpędzonego lotu i zdania się na los minął obiad dziwnie smaczny i pożywny i dalsze jeszcze cztery godziny lotu. Przy końcu czwartej godziny, to jest dwunastej od chwili opuszczenia lądu, na hasło, wykrzyknięte przez Maćka, że już, już zbliżają się do bieguna, wszystkich trzech towarzyszy ogarnął niepokój i podniecenie.

— Uważaj teraz dobrze! — wykrzyknął Bartek.

— A na co? — zapytał Maciek.

— Jakto na co? Żebyś nie zaczepił o oś, smarkaczu!

— Nie bój się, kapralu! Na pewno ta oś nie wystaje.

— Kto ją tam wie, kiedy jej nikt nie widział—odpowiedział Bartek.

Ale nagle Maciek, wpatrzywszy się w okienko, zauważył, że mgła zupełnie znikła. Od dołu promieniowała przedziwnem niebieskawem światłem olbrzymia, zda się bezgraniczna płaszczyzna, — na której nie leżał ani jeden cień, ani jedno załamanie światła.

Wpatrzony w płaszczyznę, jak w jakąś zjawę świetlną, Maciek począł powoli obniżać lot.

W tej samej chwili dobiegł go głos Petti'ego, kontrolującego motor:

— Ląduj, kapitanie! Motor musi odpocząć!

Obniżywszy lot na 100 m., Maciek wpatrzył się w ziemię pod nogami, z piersi zaś wyrwało mu się długie westchnienie ulgi. Pod samolotem istotnie leżała olbrzymia i równa płaszczyzna śniegu, pozwalająca doskonale na opadnięcie.

W kilka minut później Mewa, jak ptak najzgrabniejszy na rozpiętych skrzydłach, zaszybowała tuż nad ziemią i wstrzymawszy swój oddech w motorze, ślizgiem łyżew opadła na krystaliczny, do miału podobny śnieg.

Ale trzej dzielni przyjaciele nie odrazu wyszli z kabiny. Spoglądając przez okienka w bezkresną pustkę śnieżną, długi czas milczeli i nagle zapanowała taka cisza, że niemal słychać było bicie trzech serc — młodych, nieustraszonych serc, pulsujących potężnem wzruszeniem.

Maciek pierwszy, aby pokonać zakradającą się do piersi trwogę, wiejącą z tych bezkresów, odezwał się od okienka:

— Trzeba obliczyć, gdzie jesteśmy.

Z temi słowami pochylił się nad przyrządami i nad mapą i począł półgłosem obliczać dokładnie położenie.

Z obliczeń wypadło, że Mewa opadła o 3 km. ściśle na wschód od bieguna.

Drżącym ze wzruszenia głosem Maciek podał ten wynik do wiadomości towarzyszom.

Wiatromierz wskazywał lekki wiatr od wschodu, na termometrze widziano niezmiennie 30° mrozu.

— Teraz musimy się naradzić, co robić dalej — oznajmił Maciek.

— Ja myślę, że przedewszystkiem musimy dojść do bieguna — zabrał głos Petti.

— I ja tak myślę — dopowiedział Bartek, któremu Maciek przetłumaczył słowa Włocha.

— Tak, to naturalnie rzecz ważna. Ale musimy się też zdecydować, jak długo tu możemy pozostać, obliczyć zapas benzyny i prowjantów, oraz ponotować nasze spostrzeżenia.

— Wyjdźmy przedewszystkiem z kabiny — zaproponował mechanik.

Kabina, posiadająca mały piecyk, ogrzewany prądem od motoru, była jako-tako ogrzana. Gdy nasi podróżnicy wyskoczyli po schodkach na śnieg, ogarnął ich odrazu szczypiący wiatrem, przenikliwy mróz.

Wprawdzie przed wyjściem z samolotu zasłonili twarze klapami kapturów, a na oczy włożyli ochronne przed blaskiem śniegu błękitne okulary, niemniej dziwnie ostre powietrze zdawało się przenikać przez futra, wyciskając łzy z oczu.

Ale łzy te mogły być również łzami zachwytu i wzruszenia.

Nad dalekim widnokręgiem wisiała duża, zamglona, czerwonawa kula słońca. Nad tem słońcem kopuła szaro-błękitna nieba, bez jednej chmurki, a pod niebem niezmierzona przestrzeń śniegu, miałkiego, startego niemal na pył wichrami, błyskającego pod słońce nie iskrami, ale jakiemiś płomieniami, całemi płachtami, lekko żarzącemi się kolorem czerwonawym.

A więc nic, zupełnie nic.

Tylko w miejscu, gdzie stała Mewa i jej jeźdźcy, wykwitały ze śniegu i biegły po nim niezmiernie daleko ich cztery długie, dziwaczne cienie.

Rozkopywanie śniegu kijami, dla dowiedzenia się, czy są na ziemi, czy na lodowisku, nie dało żadnych wyników. Warstwa śnieżna była tak zbita i takiej grubości, że przez nią nie mogli się dokopać twardszego gruntu.

Napasłszy oczy dosyta bajecznym, ale niesłychanie smutnym swoją nieokreśloną jednostajnością widokiem, powrócili do kabiny, aby przedewszystkiem posilić się ciepłem jedzeniem i snem.

Spali bitych dwanaście godzin, a obudził ich przeraźliwy ziąb, który na dobre wtargnął do kabiny.

Wydobywszy się szybko z futrzanych worów, szczelnie obwiązanych pod szyjami, poczęli się żywo ruszać, aby się zagrzać i przygotować jakie śniadanie.

Wtem Bartek, spojrzawszy przez okienko, krzyknął zdumiony:

— Patrzcie! Słońce tak samo świeci, jak przedtem, nim położyliśmy się spać, tylko z przeciwnej strony.

— Bo wiedz, panie kapralu, że na biegunie słońce przez sześć miesięcy nie zachodzi, obchodząc co 24 godziny widnokrąg dookoła.

— A kiedyż tu jest noc?

— Przez drugie sześć miesięcy.

Tu Maciek, wziąwszy kuliste pudło igły magnesowej, począł Bartkowi poglądowo tłumaczyć, czem się to dzieje; pan kapral zaś z podziwu jeno postękiwał i głową ruszał na boku.

Niedługo potem trzej towarzysze, uzbroiwszy się w długie kije i włożywszy narty na nogi, opuścili Mewę, dążąc na zachód ku biegunowi, do którego spodziewali się dotrzeć w pół godziny.

Bartek, że to był kapral zawodowy, zarzucił też na plecy karabin, twierdząc, że nigdy nie wiadomo, co człowieka spotkać może.

— Ależ, Bartku, w tej krainie nic żywego utrzymać się nie może.

— A przecież, pułkowniku, my tu jesteśmy.

Na taki argument nie było odpowiedzi.

Zaskrzypiały narty na zamarzniętym śniegu i mała drużyna poczęła się posuwać wprost ku zachodowi.

— Bogu dziękujmy, że mamy taką cudną pogodę! — odezwał się Maciek.

— To prawda — odpowiedział Petti. — Gdybyśmy trafili na zamieć śnieżną lub na burzę, krucho byłoby z nami.

Po pół godzinie szybkiej jazdy, zaledwo dwa czy trzy razy trafiwszy na jakąś wydmę, Maciek zatrzymał oddział.

— No, przyjaciele, zdaje się, że jesteśmy na miejscu.

— A po czem ty poznajesz?

— Obliczam po czasie. Zresztą jeden czy pół kilometra nie robi tu żadnej różnicy.

Teraz Maciek, nie wdając się już w żadną rozmowę, ukląkł na śniegu i swojem chłopięcem sercem gorąco począł Bogu dziękować za to, że jemu, małemu Maćkowi, pozwolił osiągnąć to, czego odmówił tylu innym ludziom. A również i o to gorąco się modlił, by mu Bóg i powrót do ojczyzny dał taki szczęśliwy.

Obok zaś wzruszonego do głębi chłopczyny klęczeli dwaj jego przyjaciele, nie mniej od niego wzruszeni.

Gdy powstali, Maciek nagle wykrzyknął z lekką goryczą:

— Ale jakiż my tu znak zatkniemy jako ślad, żeśmy biegun zdobyli?!

— A psia mać, nie pomyśleliśmy o tem! — dodał Bartek od siebie, oglądając się pilnie dokoła, czy mimo słów i nauk Maćka nie spostrzeże końca wystającej osi.

— Myślałem, że wy pamiętaliście o swoim znaku — oznajmił Petti i przy tych słowach wydobył z kieszeni futra małą chorągiewkę, o włoskich kolorach narodowych.

Na ten widok ścisnęło się serce Maćkowe żalem.

Jakto? On dał pomysł, on kierował lotem, a ma być tylko włoski znak wbity na tem miejscu, pierwszy raz od początku świata stopą ludzką dotkniętem? Nie, to rzecz niemożliwa, — on, Maciek, do tego nie dopuści.

I zanim dwaj jego przyjaciele spostrzegli się, co zamierza uczynić, szybko zdjął z lewej ręki rękawicę i wyciągniętym z kieszeni nożem zaciął się w palec serdeczny aż do kości.

Wystąpiła krew, marznąc w jednej chwili na palcu. Maciek, nie zważając na ból dojmujący, zdarł chustką do nosa zamarzłą krew i począł jątrzyć ranę.

Kropla za kroplą wyciekała krew i barwiła bieluśką chustkę.

Zacisnąwszy zęby, Maciek pół białej szmatki trzymał w garści, barwiąc krwią tylko jej drugą połowę.

— O, pułkowniku! Chorągiew nasza będzie i moją krwią zahaftowana! — wykrzyknął Bartek, zorjentowawszy się, o co chodzi.

I za przykładem swego małego komendanta, tym samym nożem zaciął i swój palec, by zamalować chustkę Maćka i swoją krwią serdeczną.

Włoch, stojąc ze swoją chorągiewką w dłoni, zdumionemi oczyma patrzał na to widowisko. Widząc, że mały sztandar już się w połowie pokrył czerwoną barwą, odezwał się w te słowa, podając Maćkowi jeden kij od nart:

— Teraz zrozumiałem raz jeszcze, dlaczego Polska ma kolor czerwony z białym. Wyście zawsze w wielkich czynach niewinność swoją krwią męstwa zapisywali. Pozwól, mój mały a najdroższy komendancie, żeby oba nasze sztandary zawisły na moim kiju od nart! Niech twoja chusta skrwawiona powiewa na samym wierzchu, a moja zgóry przygotowana chorągiewka niech pod nią zwisa!

I tak się też stało. Milcząco i uroczyście odbyło się zatknięcie dość dziwnego sztandaru w głęboki śnieg na biegunie.

Milcząco i uroczyście trzej przyjaciele wyrznęli nożem na kiju trzy pierwsze litery swoich imion i liczbę dnia i roku.

Co do daty dnia, niezbyt byli pewni, którego to jest właściwie, ale obliczali, że wypada 23 czerwca.

Po tym akcie, nie mogąc słowa przemówić ze wzruszenia, długo ściskali sobie ręce. Bartek i Petti porwali małego Maćka na ręce i krzycząc: „Hurra! Hurra!“ poczęli go podrzucać do góry.

A mroźny wiatr poniósł od bieguna w nieskończoną pustkę, poprzez nią pewnie i dokoła ziemi tu się kończącej, młody, triumfalny okrzyk trzech lotników: — Hurra! Hurra! Biegun nasz! Niech żyje Maciek Pierwszy, Pan na bieguniel!

VIII. W LODOWYCH OKOWACH.

Raz i drugi szarpnęła się Mewa, raz i drugi warknął z sił całych motor, by poderwać przymarznięte do śniegu płozy samolotu, wreszcie potężny ptak wzbił się w mroźne powietrze, by ponieść dalej w triumfalnym locie swych jeźdźców.

Powietrze w kabinie, mimo zamknięcia sięgające 15° mrozu, jęło powoli ogrzewać się od motoru; zdawało się jeźdźcom, że już teraz niebezpieczeństwa są poza nimi, że droga przed nimi leżąca przejdzie im równie bezpiecznie i szybko.

Niestety, już po pierwszej godzinie lotu Maciek zauważył, że przeciwko nim wieje silny wicher od zachodu, czyli że dla utrzymania tej samej szybkości lotu, zapas benzyny będzie się szybko zmniejszał. Pocieszało go jednak to, że od krańców północnej Grenlandji dzieliło ich zaledwie 700 km, a benzyny powinno, nawet przy większem zużyciu, wystarczyć jeszcze co najmniej na 2.000 km.

Nie poddając się tedy zmartwieniu, Maciek z sił całych począł rwać ku południowi.

Piękną pogodę, z zawieszonem nad horyzontem słońcem, mącił tylko silny wicher, przeciwny lotowi i zmuszający do ciągłego manewrowania lotkami i sterem.

Po pięciu godzinach Petti zastąpił Maćka przy sterze; towarzysze, będąc jak najlepszej myśli, spożyli gorący buljon, chleb, suchary i po tęgim płacie mięsa z fok, doskonale utrzymanego i przerośniętego tłuszczem.

Po dalszych dwóch godzinach lotu Maciek zauważył, że wiatr poczyna od dołu podrywać jakieś białe tumany.

— Petti, lot na 100 m. obniżyć! zdaje się, że znowu wjedziemy w mgłę, — zakomenderował mały kapitan.

W miarę zniżania się lotu Mewy, oczom lotników począł się przedstawiać coraz wyraźniejszy obraz świata, nad którym lecieli, a niestety, nie był on zbyt pogodny.

Oto biała płaszczyzna śniegu zniknęła już poza nimi. Nad ziemią kłębiły się coraz gęstsze zwały mgły, a samolot począł się raz po raz zanurzać w kłęby również białych, ale dziwnie jakby bezwodnych i zimnych chmur.

W przerwach chmur i mgieł, jakby na dnach głębokich studni i przepaści, poczęły się zarysowywać jakieś potworne, czarne, to znów niebieskawo-zielone szczerby.

— Jesteśmy nad jakiemś lodowiskiem—zawyrokował Maciek.

— I zdaje się burza idzie — dodał Bartek.

— Ster do góry! Wysokość 500 m.! Spróbujemy, jak jest nad chmurami.

Posłuszna i śmigła Mewa wzbiła się na 500 m., a potem na 1000 i 1500; nie widać jednak było końca chmur, a wicher im wyżej, tem silniej dął, tak że rozpędzony ptak skakał i zataczał się na wszystkie strony, ze strasznym świstem i graniem tnąc wicher kantami skrzydeł i wyprężonemi strunami wiązadeł.

Widząc, że to nie przelewki, Maciek zwolnił Petti'ego, sam ujmując ster aparatu. Mewa znów zniżyła lot na 200 m. Nagle chmury poczęły gęstnieć i szarzeć złowrogo, a jednocześnie tumany mgły jakby wsiąkły w ziemię. Aparat sunął teraz tuż pod chmurami, nie zasłonięty już niczem od ziemi.

Trzem parom oczu, wpatrzonym w szybki, przedstawił się nadzwyczajny widok.

Oto pod ich nogami piętrzyły się całe łańcuchy dziwnych gór, poprzerzynanych wąskiemi kanałami szafirowej wody.

Góry te, poobrywane pionowo, najeżone iglicami lub płaskie, to znowu fantastycznie wydrążone i okrągłe, były to zwały potężnych lodowisk, promieniujące dziwnym, zimnym odblaskiem.

Lodowisko, pokryte górami lodu, których wysokość zdawało się nie przekracza 10 m., samo przez się nie przerażało Maćka. Dzielny chłopak jednak zauważył, że gęste chmury na firmamencie opadają aż do ziemi, zabudowując teraz ruchliwą i zmienną kopułą całe niebo, poczynają ścigać się ze sobą, tańczyć, bałwanić się, coraz opadają wdół, a nad dolną powierzchnią morza piętrzą się w jakieś szare fale, w jakieś ściany i zwały, to przeskakujące przez siebie, to znów zbijające się razem.

W szatańskim tym tańcu zwolna poczęło brać udział i lodowisko, — rozległym, głuchym grzmotem dając hasło do natarcia potwornym krom i zwałom.

Prawie równocześnie z pierwszym rykiem od dołu, po skrzydłach Mewy przeleciał taki złowrogi świst, jakby się ich powłoka rozdarła na dwoje. Uderzony nagle niesłychanie silnym wichrem, aparat zadrżał i zachwiał się tak ostro, że Petti i Bartek, stojący przy okienkach i nie trzymający się niczego, odlecieli jak piłki w drugi kąt kabiny.

Tuż potem nastąpiło drugie i trzecie jeszcze silniejsze uderzenie huraganu.

Nie było ani sekundy do stracenia.

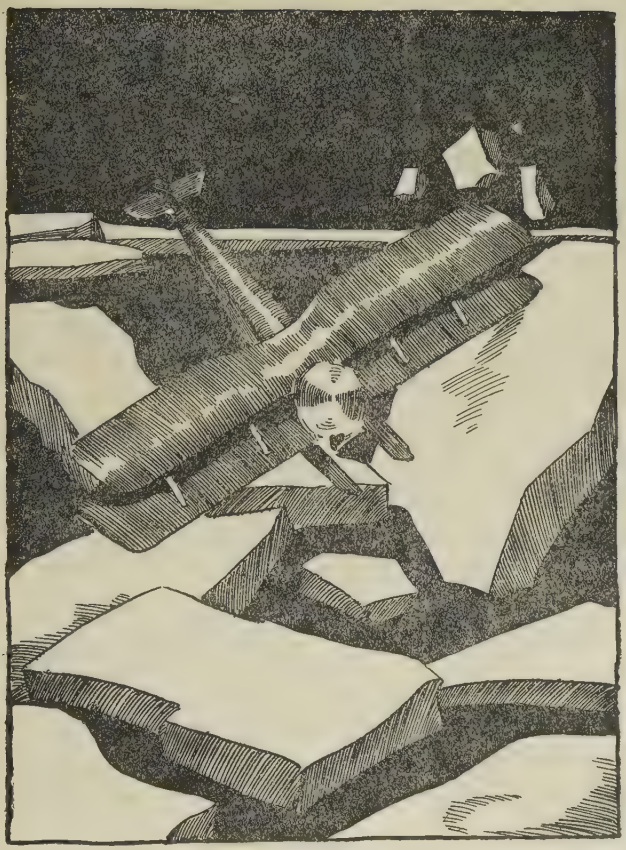

„Kra nie wytrzymała uderzenia..." (str. 94).

Maciek bystremi oczyma upatrzył jakąś potężną płaską krę w odległości kilkuset metrów od aparatu. Pochyliwszy się na sterze, nie tracąc ani na chwilę przytomności, krzyknął:

— Burza! Osiadamy na lodzie.

W minutę później Mewa pod dość ostrym kątem uderzyła o krę.

Rozległ się głuchy trzask i łoskot, ptak zachwiał się, Maciek nawpół świadomie nacisnął dźwignię łódek podwozia...

Kra nie wytrzymała uderzenia zbyt ostro lądującego samolotu i rozpękła się na połowę. Dzięki przytomnemu jednak a szybkiemu wysunięciu łódek, Mewa zafalowała na wodzie, wytrysłej w rozpadlinie kry.

Zderzenie jednak było tak silne i nagłe, że wszyscy trzej towarzysze, z całej siły wyrzuceni z miejsc, znaleźli się na podłodze kabiny koło dźwigni. Najmniej ucierpiał na tem Maciek, do ostatniej chwili trzymający się dźwigni sterowych. To też pierwszy zerwał się na nogi i poskoczył do okna.

Pęknięta kra w jednej chwili złapała samolot w żelazne kleszcze z głuchem trzeszczeniem i chrobotaniem, grożąc mu zmiażdżeniem.

— Jesteśmy uwięzieni! — oznajmił Maciek towarzyszom, podnoszącym się chwiejnie na nogi.

— Cóż teraz będzie? — zapytał Bartek, spoglądając w okno.

— Co Bóg da. Najpierw trzeba przetrzymać burzę.

— A jeśli Mewę przedtem lód zmiażdży?

— Ha, jesteśmy w tej chwili bezsilni. Mam jednak nadzieję, że małe łódki podwozia wytrzymają napór lodów, mają bowiem budowę kajaków eskimoskich, wyślizgujących się z ciśnienia lodów.

Tymczasem grzmoty dochodzące zzewnątrz wzmogły się tak, że poprostu nastała jedna potężna kanonada trzaskających, piętrzących się i walczących ze sobą lodów.

Jednocześnie zgóry spadł przepotężny, mroźny huragan śniegu, w jednej chwili zapełniający całą przestrzeń pyłem śniegu. Mimo szczelnych zamknięć, wicher wtargnął do kabiny i w kilka minut tak ją oziębił, że trzej przyjaciele poczęli drżeć cali.

W kilka jednak minut wiatr wyniósł się z powrotem na pole, zabijając szpary drzwi i okien i całe okienka masą zbitego śniegu.

Podróżnicy zostali odcięci od świata, skazani na wsłuchiwanie się w szaloną muzykę rozpętanej burzy i walkę lodów.

Ile razy później Maciek opowiadał o tem zdarzeniu, tyle razy wstrząsał nim dreszcz trwogi i zimna.

Całe bite trzy doby przebywali w nieustannej grozie śmierci, skazani na zamknięcie i bezczynność.

Kanonada potwornych huków, trzasków i łamań była taka straszna, że poprostu doprowadzała do obłąkania.

W drugim dniu samolot dostał jakieś potężne uderzenie od spodu i przechylił się nabok. Byli pewni, że to już koniec, że po wyjściu z kabiny zobaczą zgruchotane skrzydła i podwozie aparatu. Ale z tem wyjściem musieli czekać aż do ustania zawiei, siekącej gradem boki i wierzch Mewy. Nie mogli w żaden sposób otworzyć drzwi zabitych masą śniegu.

Później znów jakieś uderzenie, i znów pewni byli, że tym razem idą na dno. Dzielna jednak Mewa jakoś wytrzymała wszystko, chowając w swych piersiach zamkniętych więźniów.

Szczęściem, nie mając nic do stracenia i do czynienia, więźniowie nie wpadli w rozpacz, lecz przeciwnie, szubienicznym humorem ludzi niepewnych ani minuty życia odpędzali od siebie zmorę śmierci i trwogi.

Oprócz jednak zagłady ze strony żywiołu, począł im grozić i głód, nie wiedzieli bowiem, jak długo będą przebywali w uwięzi, jeśli uda się cudownie wymknąć przed zmiażdżeniem lub zatonięciem. Zmniejszyli zatem do połowy racje pożywienia.

Nie mając pozatem nic innego do czynienia, całemi godzinami leżeli w swych worach, głodni i zmarznięci do szpiku kości, zasłuchani w piekielną orkiestrę odbywającego się dokoła nich sabatu złych potęg.

Od czasu do czasu który z nich, znużony już śmiertelnie bezczynnem wyczekiwaniem w obliczu śmierci, wciąż walącej

pięścią w ścianki kabiny, zapadał w jeszcze bardziej męczący, odrętwiały sen jakiś.

Aż oto nagle, po trzech dobach długich jak wieczność i strasznych jak piekło, gdy wszyscy trzej zmęczeni leżeli jak kłody, napół drzemiąc, Mewa zakołysała się jakoś lekko i swobodnie.

Pierwszy podniósł powieki Bartek.

— Maćku, czujesz, co to się stać mogło?

Po chwili, opanowując straszliwe zmęczenie, Maciek usiadł na podłodze.

— Słyszysz, kapitanie? Już nie strzela!

Istotnie, za ściankami słychać było jeno cichy, jednostajny chlupot.

Przeczuwając jakiś cud, Maciek nagle odzyskał siły.

— Boże! Zdaje się, że jesteśmy ocaleni!!

Zerwawszy się na chwiejne nogi, wszyscy trzej potoczyli się do okien.

Z jednego okienka odpadł śnieg; uszczęśliwieni więźniowie spostrzegli, że Mewa równo kołysze się na małej fali dość szerokiego kanału, ciągnącego się pomiędzy potężnemi lodowcami.

— Hurra! — zakrzyknął Maciek. — Jeśli skrzydła nie strzaskane, uda nam się uciec z tego lodowego piekła.

Trzy twarze, wychudłe i wynędzniałe, z zapadłemi policzkami i gorejącemi oczami, zapłonęły nagle krwią, którą pobudziła nadzieja życia. Zataczając się na osłabłych nogach, poczęli uwijać się — jeśli plątaninę zwiędłych nóg i rąk uwijaniem nazwać można — po kabinie.

Z niesłychanym wysiłkiem wyważono górne okno, by dostać się na dach aparatu i stamtąd obejrzeć skrzydła, śmigę i stery. Niestety, żadnemu z nich siły nie dopisywały o tyle, by mógł dokonać tej może nie ryzykownej, ale trudnej wędrówki.

Po krótkiej naradzie zatem postanowiono wpierw najeść się dosyta.

— Wszystko jedno! — zakonkludował Bartek. — Zosta nie nam wprawdzie jedzenia ledwo na jeden dzień jeszcze, ale jeśliśmy ocaleni, to jedzenie niedługo się znajdzie, a jeśli nie, to jakoś przystojniej umierać sytym.

Ugotowali zatem pełny gar buljonu, czerpiąc wodę przez dolne okienko z zasp śniegu, i poczęli jeść suchary i pozostałe mięso fok z takim apetytem, aż szczęki trzeszczały.

Istotnie, z każdym łykiem pożywienia wracały im siły, do czego naturalnie podniecenie nerwowe także się bardzo przyczyniało.

Po tem najsmaczniejszem śniadaniu, jakie kiedykolwiek jedli, odrazu poczuli się jak odrodzeni.

Wprawdzie ręce i nogi jeszcze im się porządnie plątały, ale mogli już przynajmniej wdrapać się na samolot.

Jakim cudem ten rozłożysty ptak uszedł zmiażdżenia i zgruchotania, nie umieli sobie zdać sprawy. Zerwana była w spojeniu tylko jedna struna prawej pary skrzydeł, co Petti zresztą nazwał bagatelką, gdyż da się to naprawić wkręceniem nowej śruby, a mieli ich mały zapas. I wierzchnie skrzydło w dwóch miejscach miało szczerby głękokie, pochodzące widocznie od jakichś pocisków lodowych, — to jednak nie mogło zbytnio szkodzić, bo w każdym razie nie udaremniało lotu.

Pozatem, Mewa wyglądała doskonale, ledwo zewnętrznemi, powierzchownemi rysami i zdarciami mówiąc o przebytych tarapatach.

Zerwaną strunę Petti istotnie naprawił w pół godziny, a Maciek przez ten czas obliczył położenie aparatu.

Według tych obliczeń, znajdowali się oni pod 72° szerokości geograficznej.

Porównawszy czas lotu i ilość przebytych powietrzem kilometrów z obecnem położeniem, Maciek doszedł do wniosku, że widocznie jakiś silny prąd morski zniósł ich tak daleko na południe.

Była godzina 8 m. 15 rano, gdy z bijącem sercem usiadł przy sterze. Mógł się jeszcze okazać jaki błąd w motorze. Drżąca ręka naciągnęła dźwignię starteru, rozległ się suchy trzask zapałów i... motor ruszył. Z trzech piersi uleciały westchnienia ulgi. Furkocząc śmigą i trochę posapując tak długo nieczynnemi płucami, Mewa ruszyła, prując wodę łódkami. Mroźne powietrze przesunęło się po płatach skrzydeł, i oto wspaniały ptak, aczkolwiek trochę ranny i pobity, wypłynął ponad kanał i dalej, coraz więcej, ponad ocean lodów i smug wodnych. Z nad widnokręgu jasnego i pogodnego zaświeciła znowu czerwona bania słońca podbiegunowego.

. . . . . .

Słońce dosięgało już najwyższego wzniesienia ponad horyzontem, świecąc jasno, ciepło i miło nad przylądkiem Farvel w południowej Grenlandji, gdy gromada kosmatych Eskimów, otaczająca dwa wspaniałe samoloty, opadłe wczoraj na wybrzeże, poczęła się zwolna rozchodzić do swych chat niedaleko, na zieleniejącej kusą trawką płaszczyźnie.

Nagle czarodziej osad, szanowny Inarta, o twarzy pucołowatej i świecącej tłuszczem, przystanął i wpatrując się pod słońce, zasłonił ucho zwiniętą w trąbkę dłonią. Za jego przykładem poszli i inni obywatele tej nie tak bardzo północnej, a jednak zimnej krainy, — domyślając się, że, kto wie, może znowu jakiś żelazny potwór z ludźmi w brzuchu do ich wsi nadlatuje. I nie omylili się. Niedługo na wysokiem niebie zaczernił się punkt migocący odbitem słońcem, a w powietrzu rozległ się rozgłośny łomot i brzęczenie nadlatującego potwora.

Już rozchodząca się gromada zbiegła się znowu nad wybrzeżem, a rosnący w oczach do olbrzymich rozmiarów, opuścił się z nieba samolot-ptak o rozpiętych dwóch parach skrzydeł i podskoczywszy na kółkach, osiadł wpobliżu dwóch tamtych ptaków, przybyłych dnia poprzedniego.

Roztworzył się brzuch ptaka, a z jego zaczarowanego wnętrza wyskoczyło dwóch ludzi dorosłych i mały chłopak.

Gromada płaskonosych, z małemi oczkami tłuściochów, uśmiechając się pogodnie i przyjacielsko, otoczyła przybyszy, wysuwając naprzód jegomościa Inartę.

Ale przybysze, którymi byli (jak się łatwo domyślić) nasi trzej towarzysze, zwrócili przedewszystkiem uwagę na dwa stojące naprzeciw nich samoloty.

— Ikar i Scott!! — wykrzyknął z radością Maciek.

— No, spisali się nie najgorzej! — zauważył Petti.

— Phi, jaką tam mieli podróż w porównaniu z nami! — odezwał się Bartek.

— Mieli na pewno gorszą i dalszą, tylko może mniej niebezpieczną — zgromił go Maciek. — Ale przedewszystkiem szalenie cieszę się z ich spotkania, bo temi pozostałemi w rezerwuarze 100 litrami benzyny niedalekobyśmy zalecieli.

— No, oni na pewno też nie mają jej wiele.

— Ale ich obecność tutaj świadczy, żeśmy nie zbłądzili, czyli że jesteśmy na przylądku Farvel, a tu jest stacja naszego lotu, zaopatrzona i w benzynę i w prowjant.

— Masz zawsze rację, pułkowniku. Hej tam! — krzyknął Bartek na tłustego czarodzieja, który, zadrżawszy na ten głos, odskoczył na krok od przybyszy. — Prowadź nas na stację!

— Ależ, Bartku, pocóż ty krzyczysz na nich jak na ludożerców, kiedy oni się tak miło uśmiechają?

— Cóż z tego, pułkowniku? Oni mogą się tak uśmiechać do naszych szynek. Patrz, jacy są tłuści. Kto wie, czy nie po francuskim kotlecie i angielskiej polędwicy Montcornet'a i Duglas'a.

— Nieznośny jesteś, Bartku! Wiedz o tem, że Eskimowie to naród pogodny, wesoły i wcale nie wojowniczy.

Chcąc ułagodzić lęk kosmatych ludków, Maciek rozkazał Bartkowi cofnąć się, sam zaś wysunął się przed czarodzieja, próbując się z nim porozumieć.

Eskimowie ze zdziwieniem zauważyli, że dwaj dorośli biali ludzie okazują szacunek i posłuszeństwo temu malcowi z twarzyczką niebiańskiej „innity“ (istoty). Skłonni do zabobonów i wiary w nadprzyrodzone siły, pojęli odrazu, że ten chłopak jest tu najważniejszą i nie bylejaką osobą.

„Prowadź nas na stację!“ (str. 99).

To też zwracając już tylko uwagę na długie ręce Bartka, zaciśnięte w pięści, otoczyli Maćka i na wyścigi poczęli krzyczeć i wymachiwać rękami, wskazując to na Ikara i Scotta, to na niedalekie osiedle.

Wreszcie czarodziej Inarta ujął dobrotliwie Maćka za rękę i począł go prowadzić ku chatom.

Na skraju osiedla stał dom murowany, w którym mieściła się administracja „portu“ i na teraz stacja zaopatrywania.

W jej wnętrzu, w schludnej, wybielonej izbie Maciek z towarzyszami zastał Montcorneta i Duglasa, wylegujących się jeszcze w wygodnych łóżkach.

Można sobie wyobrazić zdumienie i radość Francuza i Anglika na widok wchodzących trzech buntowników.

W jednej chwili zapanował w izbie nie dający się opisać gwar i hałas.

Wnet zjawiło się trzech Duńczyków i dwie Dunki, stali mieszkańcy domu, prócz nich weszło również kilku Eskimów z Inartą na czele, — słowem, ten stojący na odludziu dom, zwykle prawie pusty, zamienił się nagle w jakiś brzęczący weselem i radosnemi głosami ul, pełny ludzi.

Zgrabne i gościnne Dunki zakrzątnęły się około obfitego i smacznego obiadu, który stał się ucztą wspaniałą, — a przez ten czas Maciek z towarzyszami opowiadali odnalezionym kapitanom wrażenia i przygody swej podróży nad biegunem.

Wzamian Francuz i Anglik opowiadali o swoim locie, który, aczkolwiek wspaniały i bogaty we wrażenia, odbył się bez żadnych szczególnych przygód, według planu zgóry wyznaczonego.

Na tych wesołych opowiadaniach i ucztowaniu przeszedł czas aż do późnego wieczora.

W czasie uczty, wśród ogólnego wzruszenia, kapitan Montcornet wzniósł zdrowie Maćka, który, aczkolwiek nabawił go wielkiego niepokoju i troski, jednak przez swój czyn tak wspaniale dokonany stał się chlubą lotnictwa już nietylko polskiego, ale całego świata. W mowie swej kapitan nie zapomniał, naturalnie, o Petti'm ani o Bartku.

W dwa dni później cała eskadra, już złączona w całość, z lotnikami odkarmionymi już i wyspanymi, uniosła się z brzegów przylądka Farvel, żegnana ze łzami w oczach przez Duńczyków i Eskimów, w których imieniu czarodziej Inarta pobłogosławił odlatujących.

Najserdeczniej zaś żegnano i wspominano Maćka, który i tym ludziom Północy przypadł do serca jak syn najrodzeńszy.

Trzy samoloty, prowadzone przez Ikara, poszybowały ku Islandji i dalej ponad Szkocję, — a stamtąd już bez przygód, na polach lotniska w Paryżu zakończyły triumfalnie swój wspaniały lot dokoła świata.

Nieprzebrane tłumy publiczności, dowiedziawszy się już z gazet o przebiegu lotu, zebrały się na trybunach portu, by godnie powitać nadlatujących.

Najwięcej jednak zaciekawiał wszystkich Maciek, o którego przelocie ponad biegunem (co równało się ustaleniu najkrótszej drogi ze Starego do Nowego Świata) depesze w kilka godzin rozniosły wieść po całym świecie.

Najmilszą jednak niespodzianką dla dzielnych lotników było to, że wśród publiczności oczekiwali na nich wyleczeni już don Cabalos i Giovanni, którzy kilka dni temu na Orle przybyli do Paryża, by tu spotkać się ze swymi szczęśliwszymi towarzyszami.

IX. ZAKOŃCZENIE.

— Rany boskie, pułkowniku! Ta pierwsza to przecież Jaskółka! — zawrzeszczał Bartek do tuby.

— Żyje! — odkrzyknął Maciek.

Istotnie na samem czele eskadry samolotów, które wyleciały z Warszawy aż pod Piotrków, by przywitać i wprowadzić do stolicy bohaterskiego Orła, płynęła podobna do niego, a cudem ocalała z huraganu nad Turcją Jaskółka.

Podpłynęła tak blisko do Orła, że Maciek z łatwością rozpoznał w lotniku tego samego kapitana, przyjaciela ojca, który po niego przyleciał do Bukaresztu.

Wolnemi dłońmi posłali ku sobie znaki powitania.

Inne aparaty kołem opłynęły Orła, i od tej chwili, aż do samej stolicy, leciał on dumnie i szumnie na czele błyskającej w słońcu skrzydlatej świty.

Gdy przyszło lądować w mokotowskim porcie lotniczym, Maciek musiał całą siłą woli panować nad sobą, by przy samym końcu swego niezwykłego lotu nie palnąć jakiego głupstwa.

Uwięzłe w gardle łzy dławiły go, oczy piekły żarem, serce waliło jak młotem, a ręce drżały ze wzruszenia.

Wzruszenie i wrażenia pierwszych chwil po powrocie do kraju były tak silne, że pamięć ich na zawsze pozostała w duszy Maćka, jako wspomnienie jakiegoś przedziwnego snu, marzenia.

Oto na polu mokotowskiem kołysze się tłum głów i tysiące wzniesionych rąk powiewa ku niemu chustkami, kapeluszami i kwiatami.

Motor wstrzymuje głośny oddech, rozpięte skrzydła Orła lekko ześlizgują się ku ziemi, a z tysięcy piersi witających ludzi dobywa się szalony okrzyk powitania. Ledwo koła dotknęły ziemi, ledwo aparat przysiadł na zadzie, tłum rąk porywa poprostu Maćka z aparatu i niesie go ponad głowami, w niesłychanym szumie zapału, wśród deszczu padających ze wszystkich stron kwiatów.

Jak przez mgłę widzi Maciek wzniesione pięście Bartka, usiłującego wprowadzić ład jaki-taki.

Donieśli wreszcie przed jakieś trybuny ogłuszonego, maleńkiego, w skórzaną kurtę zaszytego Maćka, stawiają na pustym kawałku placu. Maciek przeciera oczy... Tak, tak, już widzi, wzrok go nie myli: stoi pełno jenerałów i oficerów i jakichś panów poważnych, tłum fotografów strzela doń ze soczewek aparatów.

Nagle lęk jakiś, którego nawet w obliczu dzikich nie zaznał, obejmuje serduszko Maćka... i w chwilowej ciszy, oczekującej na dalszy ciąg powitania, wyrywa się jeden jedyny okrzyk:

— Tatusiu!!!

Ten okrzyk najserdeczniejszy dziecka, które wśród fali idącej nań sławy, wśród uwielbienia tłumów, ojca właśnie wzywało,

„...z pośród dostojników ...wybiegł ojciec Maćka“ (str. 105).

aby pod jego opieką ukryć swe proste serduszko, przedziwnie podziałał na ludzkie mrowie.

Oto ucichły wszelkie okrzyki, w piersiach najbliżej stojących jakby oddech zamarł z wrażenia, — jakby ten tłum dorosłych ludzi poczuł nagle, że ten mały chłopak, ten lotnik bohaterski, to dziecko ich wszystkich — to syn Polski, który w nagrodę za swe czyny nie sławy i powodzenia pragnie, ale serca i uścisku ramion ojcowskich...

I oto z pośród dostojników, zgromadzonych na trybunie, wybiegł ojciec Maćka i uniósłszy go w powietrze, silnemi ramionami przycisnął do szerokiej piersi, a nie wstydząc się łez swoich, załkał najserdeczniej. A tłum żadnym okrzykiem nie śmiał przerywać tego cudnego powitania. Jeno tu i tam matka jakaś łzę w oczach roztarła, jeno tu i tam czyjś ojciec westchnął głęboko.

Zmienił się cały program powitania.

Ojciec postawił Maćka na ziemię i podprowadził go za rękę ku trybunom. Z grona jenerałów wystąpił jeden, szpakowaty, o twarzy spalonej i zoranej wichrami niejednej burzy. Był to adjutant Prezydenta Rzeczypospolitej, przybyły w jego imieniu, by powitać młodego, ale tak zasłużonego już syna.

Wilgotnemi oczyma spojrzał w twarz Maćka i przemówił krótko, po żołniersku:

— Witaj, zuchu, po powrocie do ojczyzny! W imieniu Pana Prezydenta życzę ci, abyś wyrósł na wzór i na przykład kolegom swoim i rówieśnikom, a na chlubę ojczyzny i jej powietrznych rycerzy. Gdy się już nacieszysz ojcem i domem, przyjdź do Belwederu, by zdać przed Panem Prezydentem raport ze swych podróży.

Zapłoniony Maciek ledwo odszepnął:

— Dobrze, proszę pana jenerała.

Dostojnik uścisnął dłoń chłopaka.

Teraz wystąpił przed Maćka inny jenerał, a Maciek poznał w nim tego samego, który kiedyś ojcu jego rozkaz odlotu podał i do którego Maciek przed swemi odlotami dwa listy napisał.

Myśląc, że zwierzchnik będzie się gniewał za porwanie Orła i samowolną podróż, Maciek postąpił krok naprzód i uprzedzając burę, przemówił:

— Ja wiem, panie jenerale, żem zasłużył na naganę, ale, proszę pana, tatuś był bardzo chory i ja musiałem tak postąpić. Proszę się na mnie nie gniewać, bo ja listy zawiozłem i Orła oddaję całego.

Jenerał uśmiechnął się i położył rękę na małej głowinie chłopaka.

— Nietylko nie gniewam się, Maćku, ale myślę, że wyrośniesz na jednego z najdzielniejszych naszych lotników, i tego ci z całego serca życzę. Podaj mi więc rękę na pojednanie, a obok gwiazdy rumuńskiej noś na swych piersiach ten oto polski krzyż waleczności, na który sobie tak dzielnie zasłużyłeś.

I po chwili na piersiach zdumionego Maćka zawisł obok gwiazdy skromny, miedziany krzyż walecznych żołnierzy.

Potoczył Maciek oczyma dokoła, spojrzał w rozrzewnioną i uśmiechniętą twarz ojca i wreszcie, za nic nikomu nie dziękując, odezwał się głośno i wyraźnie:

— A Bartek, panie jenerale? On sobie tak samo i bodaj jeszcze więcej zasłużył, bo on był w niewoli i dużo przecierpiał.

W tej chwili tuż za Maćkiem coś zachlipało, zaszlochało i wreszcie buchnęło takim rykiem, że aż dostojnicy popowstawali z trybun. To Bartek Paciorek, aż do tej chwili milczący, na ostatnie słowa Maćka wybuchnął płaczem. Roztrącił tłum i przypadłszy do chłopaka, porwał go w ramiona.

— O, pułkowniku mój najserdeczniejszy! Smarkaty jesteś i mały, ale chciałbym służyć pod tobą aż do śmierci!

A potem wyprostował się na baczność i głosem suchym, trzaskającym jak karabin, zameldował:

— Bartek Paciorek, kapral z trzeciej dywizji, czternastej kompanji karabinów maszynowych wojsk polskich, ocalony z niewoli i wzięty do służby lotniczej przez tego oto małego pułkownika powietrza, melduję się posłusznie.

Naturalnie, że i Bartek otrzymał krzyż walecznych i czternastodniowy urlop, by mógł odwiedzić rodzinę.

Wieczorem tego dnia rojno i szumnie było w pokoikach ojca Maćkowego. Przyszły dwie ciotki i kilku kolegów ojca, i kapitan Jaskółki, i sam pan jenerał przełożony, był Maciek i ojciec jego i Bartek, i przy skromnej kolacji toczyły się długie opowieści o Maćkowych przygodach.

Najwięcej zaś prawił Bartek, a tak dowcipnie i z takiemi dopowiedzeniami, że coraz ktoś śmiechem wybuchał lub, nie tając wzruszenia, wzdychał głęboko.

Dopiero późna noc i pamięć o zmęczeniu przybyszów przerwała miłe posiedzenie.

A gdy się już goście żegnali, pan jenerał, ściskając Maćkowi rękę, powiedział na odchodnem:

— Zapamiętaj sobie, mój mały przyjacielu, że gdybyś czego w przyszłości potrzebował, licz na mnie, — bo wszystko, co będzie w mojej mocy, dla ciebie uczynię.

. . . . . .

Niedługo potem Maciek zdał egzamin w gimnazjum, a po wakacjach począł znów uczęszczać do szkoły. Na zawsze jednak pozostał mu przydomek „pułkownika“ lub „króla powietrza“, co zresztą było dla ucha Maciusiowego bardzo miłe, przywodziło mu bowiem na pamięć wspomnienie przeżytych przygód i bajecznych lotów.

Co niedziela i co święto Maciek chodził po nabożeństwie na lotnisko i tam na swym ukochanym Orle unosił się na dalekie przeloty.

Towarzyszył mu przy tem zawsze Bartek, który, zostawszy sierżantem, przeniósł się z karabinów maszynowych do lotnictwa i służył pod ojcem Maćka.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Str.

Od Autora 3

I. Nowa awantura 5

II. Prawo przygody 22

III. Gd Kairu do Kalkuty 29

IV. Bartek, słoń i Mewa 43

V. Kalejdoskop 59

VI. Na krańcu Azji 69

VII. Zakrwawiona chusta 77

VIII. W lodowych okowach 90

IX. Zakończenie 102

„KSIĘGARNIA POLSKA"

TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

W WARSZAWIE, UL. WARECKA 15.

POLECA NASTĘPUJĄCE TANIE **POWIEŚCI I OPOWIADANIA:**

Bielińska M. — **Dwaj przyjaciele.** Opowiadanie na tle wspomnień rodzinnych z 1831 r. Wyd. 2-gie . . . . . — 20

Bogusławska M. — **Duch zamku Olsztyńskiego.** Powieść dla młodzieży. Wyd. 2-gie . . . . . — 28

— **Dziecko legjonu.** Powieść hist. z końca XVIII w. . . . — 36

— **Tomasz Ptak z Wielebna.** Powieść hist. Wyd. 2-gie . . — 44

Bukowiecka Z. **Bohater z pod Majuby.** Obrazek z wojny transwalskiej 1881 r. Wyd. 2-gie . . . . . — 68

— **Michałek.** Opowiadanie z czasów Jana Kazimierza. Wyd 3-cie. 2. 50

Czyżowski K. A. — **Maciek [illegible], Król powietrza** Powieść dla młodzieży. Wyd. 2-gie . . . . . —.—

— **Maciek na biegunie.** Powieść dla młodzieży. . . . —.—

Erckman i Chatrian — **Dzielni Górale.** 2. 60

Gębarski St. — **Zdobycie Konstantynopola.** Powieść hist. Wyd. 2-e. — 64

Jeż T. T. (Miłkowski Z.) — **Palec Boży** czyli Zemsta Bośniaka. Opowiadanie hist. z XIV w. Wyd. 3-cie. . . . . — 48

— **Piotr i Asan.** Powieść hist. z dziejów Słowian Bałkańskich z XII wieku . . . . . — 40

Kowerska Z. — **Dzielny chłopiec.** Wyd. 3-cie. W oprawie . . 2. 20

— Dwa opowiadania dla młodzieży. **1. Ofiara. 2. Jantoś.** . 1. —

— **Najmłodszy.** Opowiadanie na tle wojny europejskiej. . . — 56

Kraszewski J. I. — **Jaksowie.** Z powieści historyczej „Bracia Zmartwychwstańcy". Wyd. 3-cie . . . . . — 56

— **Kordecki.** Powieść historyczna. Wyd. nowe W oprawie . 8. —

Majewska Z. — **Najdroższa Matka.** Opowiadanie . . . — 32

Nittman K. J. — **Za świętą sprawę.** W oprawie . . . 4. —

Opioła T. — **Pokorni oracze.** . . . . . 2. —

Piast T. — **Kurpie.** Opowiadanie historyczne. Wyd. 2-gie . . — 28

Rawita-Gawroński F. — **Moje przygody** w roku 1863 i 1864 w Kijowie . . . . . — 92

Rządkowski J. — **Żołnierz Nieznany.** 2. 50

Zorjan E. — **Bohaterskie boje.** Opowiadanie historyczne z czasów Jana III. Wyd. 3-cie. . . . . — 48

— **Dopust Boży.** Powieść hist. z XVII w. Wyd. 3-cie . . — 48

— **Hołd pruski.** Powieść hist. z XVI wieku. Wyd. 3-cie . . — 60

— **Pod godłem Krzyża.** Powieść z XIV wieku. Wyd. 3-cie . — 48

— **W walce z pohańcami.** Powieść historyczna. Wyd. 5-te. . — 44